



**KIRIBATI CLUB**  
Prawdziwe Podróże

# BIURO W PODRÓŻY

NR 01/2020 ISSN 2658-2015



**PODRÓŻE ŻYCIA  
7 KONTYNENTÓW  
27 PAŃSTW**

**PERU  
BRAZYLIA  
BELIZE  
WIETNAM  
JAPONIA  
ETIOPIA  
KANADA  
USA  
NOWA ZELANDIA  
ISLANDIA**

wywiady ■ artykuły ■ historie z podróży



# BIURO

## W NIEUSTAJĄCEJ PODRÓŻY

Dni, kiedy cała ekipa Kiribati Club przebywa fizycznie w biurze, jest zaledwie kilka w roku. Jeśli akurat nie pilotujemy wypraw, ruszamy w prywatne podróże. W magazynie „Biuro w Podróży” znajdziecie inspiracje podróżnicze, praktyczne informacje o miejscach wartych zobaczenia, ale również nasze zapiski z podróży. Odślamy kulisy naszej pracy, pokazujemy więcej siebie i naszych podróżniczych doświadczeń.

„Biuro w Podróży” przygotowaliśmy dla Was w miejsce tradycyjnego katalogu. Mamy nadzieję, że w długie zimowe wieczory zabierze Was we wspaniałą podróż.

---

**redaktor naczelna**  
**Zuzanna Komuda**

**Wydawnictwo Kiribati Club**  
ul. Grochowska 59, 60-339 Poznań  
[www.kiribaticlub.pl](http://www.kiribaticlub.pl)

redaktor naczelna: **Zuzanna Komuda**  
korekta: **Eleonora Mierzyńska-Iwanowska**  
projekt graficzny: **Alicja Petroczo**  
zdjęcia z prywatnych archiwów: **Dariusz Wiejaczka, Michał Antkowski, Wojtek Chomicz, Monika Kabacińska, Joanna Antkowska, Zuzanna Komuda, Mateusz Stachniuk, Małgorzata Woźniak**  
okładka: **Vadim Petrakov**



## SPIS TREŚCI

- 4 AMERYKA POŁUDNIOWA**
- 5 MACHU PICCHU: CO POWINNIŚCIE WIEDZIEĆ PRZED PODRÓŻĄ
- 7 ZWYCZAJNI NIEZWYCZAJNI ASOCIADOS
- 9 PRZYRODNICZE WOW AMERYKI POŁUDNIOWEJ
- 15 KOLOROWE GÓRY: JAK WYGLĄDA JEDNODNIOWY TREKKING
- 19 KOLOREM BRAZYLII JEST ZIELONY
- 23 CZY ZDJĘCIE MOŻE UKRAŚĆ DUSZĘ?**
- 27 AMERYKA ŚRODKOWA**
- 28 ADRENALINA Z LENIWCAMI
- 32 PAMIĘTNA PODRÓŻ DO NIKARAGUI
- 34 PODWODNE ŻYCIE BELIZE
- 36 PODRÓŻNICZE TRENDY INACZEJ**
- 38 AZJA**
- 39 NAJBARDZIEJ ZNANE BUDOWLE AZJI VS TE, KTÓRE NAS ZACHWYCIŁY
- 47 KĄPIEL PO JAPOŃSKU
- 49 POLUBIĆ SIĘ Z WIETNAMEM
- 51 AFRYKA**
- 52 WIELKA MIGRACJA
- 56 UKULI BULA – EGZAMIN DOJRZAŁOŚCI
- 57 JAK ZDOBYĆ KILIMANDŻARO
- 62 WSPARCIE DLA ŚWIATA**
- 64 AMERYKA PÓŁNOCNA**
- 65 CROSS USA
- 67 W PODRÓŻY PRZEZ GÓRY SKALISTE
- 69 HAWAJE – TO, CO LUBIĘ
- 73 AUSTRALIA I OCEANIA**
- 74 NA DRUGIM KOŃCU ŚWIATA
- 78 CZY WIESZ, GDZIE JEST TASMANIA?
- 80 EUROPA**
- 81 PRZEZ INTERIOR I FIORDY ISLANDII
- 87 ANTARKTYDA**
- 88 KIEDY JECHAĆ NA ANTARKTYDĘ



Kolorowe Góry, Peru.

# AMERYKA POŁUDNIOWA





PERU, AMERYKA POŁUDNIOWA

# MACHU PICCHU: CO POWINNIŚCIE WIEDZIEĆ PRZED PODRÓŻĄ

*Machu Picchu to marzenie  
niejednego podróżnika. Zrozumiałe  
więc, że spotkacie ich tam wielu,  
np. w kolejce do jedynej toalety...  
Co jeszcze warto wiedzieć?*



Zuzanna Komuda

## **1. DO NAJBLIŻSZEJ MIEJSCOWOŚCI – AGUAS CALIENTES – NIE DA SIĘ DOTRZEĆ AUTEM ANI DOLECIĆ SAMOŁOTEM**

Dojeżdża tam pociąg z Cuzco i Ollantaytambo, i jest to zdecydowanie najpopularniejszy środek transportu wybierany przez turystów. Inną opcją są... własne nogi.

## **2. AGUAS CALIENTES NIE NAZYWA SIĘ JUŻ AGUAS CALIENTES...**

...a Machu Picchu Pueblo. Zmiany dokonano względnie niedawno, więc obie nazwy są nadal w powszechnym użyciu.



### 3. TYLKO JEDEN TREKKING KOŃCZY SIĘ BEZPOŚREDNIO W MACHU PICCHU

! jest to Inca Trail – szlak uznawany za jeden z najpiękniejszych w Ameryce Południowej. To oraz limit piechurów na szlaku powodują, że trekking ten trzeba rezerwować z wielomiesięcznym wyprzedzeniem. Istnieje też opcja Mini Inca Trail. Pozostałe szlaki: Salcantay Trek, Lares Trek, Inca Jungle Trail czy Vilcabamba Trek kończą się w Aguascalientes.

### 4. PRZYGOTUJcie SIĘ NA KOLEJKĘ DO AUTOBUSU

Nawet bardzo wczesna pobudka nie uchroni Was przed staniem w kolejce do autobusu. Chętnych, żeby zobaczyć wschód słońca nad Machu Picchu, jest sporo. Alternatywą jest piesze podejście pod górę do bram parku archeologicznego. Droga prowadzi po stromych schodach, a na jej pokonanie trzeba ok. 1-1,5 h i niezłej kondycji. Jeśli więc nie chcecie się pocić przed zwiedzaniem, nastawcie się na odstanie swojego, a bilet na pierwszy autobus kupcie poprzedniego dnia.

### 5. LIMITY, BILETY I CAŁA TA CZARNA MAGIA

Dziennie na teren Machu Picchu może wejść 2500 osób, oczywiście z odpowiednim biletem. Ruiny otwierane są o 6 rano, a bilety kupuje się na konkretną (pełną) godzinę. Ostatnie wejście jest o 14.00. Zgodnie ze zmianami w 2019 roku (oficjalnie) bilet uprawnia do przebywania na obszarze Machu Picchu do 4 godzin.

Na górę Wayna Picchu wpuszcza się dziennie 400 osób (200 między godziną 7.00 a 8.00, drugie 200 między 10.30 a 11.30), również z odpowiednim biletem. Aby wdrapać się na wierzchołek Machu Picchu, także potrzebny jest bilet – dzienny limit to 800 osób (między 7.00 a 8.00 oraz między 9.00 a 10.00). Bilety warto więc rezerwować z odpowiednim wyprzedzeniem, zwłaszcza jeśli chcecie zobaczyć ruiny z któregoś z okolicznych szczytów.

Dodatkowo (znowu – oficjalnie) na teren ruin można wejść tylko z autoryzowanym przewodnikiem. Należy podążać wyznaczonymi ścieżkami (tak, czas beztrudnego szwendania się to przeszłość).

! uwaga: po wyjściu z obszaru ruin nie wejdziecie już do nich ponownie z tym samym biletem (ta zmiana obowiązuje od 2019 r.).

### 6. PAPIERKI

Konieczny jest paszport. Kopia czy skan nie przejdzie. Do tego przygotujcie wydrukowany bilet imienny – imię i nazwisko musi się zgadzać z tym w paszporcie.

### 7. STATYW I SELFIE STICK LEPIEJ ZOSTAWCIE W HOTELU

Duży statyw uznawany jest za sprzęt profesjonalnego fotografa. Aby móc go wnieść i używać na terenie parku archeologicznego, potrzebne jest specjalne (kosztowne) pozwolenie. Jeśli nie macie zezwolenia, statyw zostanie odstawiony do schowka. Podobny los może spotkać selfie

stick, kijki trekkingowe i duże plecaki, chociaż w tej kwestii strażnicy bywają nieco mniej restrykcyjni.

### 8. GDY JUŻ PRZEKROCZYCIE BRAMY PARKU...

...przygotujcie się na brak toalety. Jedyna znajduje się poza bramami parku i jest płatna. Kolejka gwarantowana. Na terenie parku archeologicznego nie kupicie też wody czy przekąsek, należy zabrać je ze sobą. Zwłaszcza odpowiednie nawadnianie organizmu jest ważne na tej wysokości!

### 9. NIE DAJCIE SIĘ ZJEŚĆ MESZKOM

Machu Picchu wśród podróżników słynie z unikatowych widoków i... krwiożerczych bestii – gryzących meszek. Aby się przed nimi chronić, włożcie bluzę długimi rękawami i długie spodnie, zabierzcie ze sobą również dobry spray na owady, najlepiej z DEET (do kupienia w większości aptek w Cusco). Ukąszenia tych małych potworów potrafią zostawić ślad na długie tygodnie, a nawet wywołać poważną reakcję alergiczną. Znamy to z bolesnego doświadczenia.

### 10. CZY NAPRAWDĘ WARTO?

Dość często słyszymy to pytanie. Odpowiedź mamy zawsze tę samą: absolutnie TAK!

*Klimat tego miejsca nie ma sobie równych, położenie jest wręcz bajeczne, a historia zaginionego miasta Inków dodaje szczypty tajemniczości.*

Do tego żadne inne ruiny miast Inków nie mają tego rozmachu, malowniczości i klimatu. Machu Picchu może się pochwalić dużo ciekawszym rysem architektonicznym niż Choquequirao (mimo iż to drugie zajmowało większą powierzchnię). Nie zostało też zniszczone przez konkwistadorów, tak jak stolica na wygnaniu – Vilcabamba.





Monika i Leoncio

# ZWYCZAJNI NIEZWYCZAJNI ASOCIADOS



Marcelo

*Gdybyście zobaczyli Leoncia na ulicy w Cuzco, pewnie nie zwrócilibyście na niego uwagi. Ot, niezbyt wysoki Peruwiańczyk o zniszczonej słońcem twarzy. Może jedynie jego szeroki uśmiech zatrzymałby Wasz wzrok na dłużej. Leoncio pokonuje Inca Trail kilka razy w miesiącu.*

*Marcelo, jak spora część mieszkańców półwyspu Valdés, uwielbia przebywać na świeżym powietrzu. Zna teren na wylot.*

*O przyrodzie Pantanal Gil wie chyba wszystko. W końcu poświęcił temu regionowi 30 lat życia.*



Gil

*Leoncio, Marcelo i Gil to współpracownicy Kiribati Club w Ameryce Południowej. Pozornie zwyczajni, a jednak przeciekawi ludzie. Co myślą o pracy w turystyce? O czym marzą? Zapytaliśmy ich o to.*



Z Leonciem, Marcelem i Gilem rozmawiała Monika Kabacińska

## **Ile lat pracujesz w branży turystycznej?**

### **Jakie zmiany zauważyłeś w tym czasie?**

#### **A jakie chciałbyś zobaczyć?**

**Marcelo:** Odkąd skończyłem studia w Buenos Aires w 2004 roku, wróciłem w rodzinne strony, do Patagonii, i zacząłem pracę w turystyce. Po 9 latach otworzyłem razem z Veronicą nasz niezależny projekt. W tym czasie zauważyłem zdecydowany wzrost liczby odwiedzających, ale także wzrost poziomu znajomości regionu. Coraz więcej ludzi żywo interesuje się otaczającą nas przyrodą. Jednym z naszych marzeń, chyba największym, jest, żeby przyszłe pokolenia mogły poznać i cieszyć się przyrodą zachowaną w jak najlepszym stanie.

**Gil:** Organizuję wycieczki po Pantanal od 30 lat. Kiedy zaczynałem, wypady były dosyć prymitywne. Spaliśmy na obozowiskach pod namiotami w otoczeniu przyrody. Obecnie jest sporo hoteli i lodge'y, a i sam region zyskał na popularności. Boryka się jednak z wieloma problemami, m.in. z wylesianiem, co obserwuję z bólem przez te wszystkie lata. Chciałbym, by była tutaj większa świadomość, lepsza dbałość o region, więcej ekoturystyki.

**Leoncio:** W tę działalność jestem zaangażowany od ponad 20 lat i widziałem drastyczne zmiany w ciągu tych dwóch dekad. W latach 80. i 90. przyjeżdżały tu zorganizowane, małe grupy, które nie wywierały większego wpływu na lokalną gospodarkę. Na początku XXI wieku turystyka stała się powszechna. Weźmy na przykład Szlak Inków [Inca Trail – przyp. M.K.], na który dziennie wchodziło od 2500 do 3000 osób – turystów, tragarzy, przewodników. Rezerwacje robiono z dnia na dzień. Przyjęcie tylu ludzi wywierało wpływ na stan krajobrazu i zanieczyszczenie środowiska (odpady stałe). W ostatniej dekadzie działalność turystyczną wreszcie uregulowano. Dziś na ten szlak może wejść tylko 500 osób dziennie, a rezerwacje muszą być dokonywane z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem. Dzięki temu chociaż trochę chronimy środowisko naturalne Szlaku Inków. W działalności turystycznej w Peru zawsze dominował wolny rynek, ale nie było to dobre, ponieważ osoby zaangażowane nie wiedziały, jak zabezpieczyć nasze zasoby turystyczne. Moim zdaniem trzeba nawiązać współpracę z władzami i biznesem, by chronić dziedzictwo regionu.

## **Na czym polega Twoja praca? Jakie są jej najważniejsze aspekty?**

**Leoncio:** Praca to moja pasja. Uwielbiam prowadzić ludzi, informować ich i sprawiać, aby przez chwilę żyli moim krajem. Ważne jest jednak, żeby także informować ich o potencjale i słabościach społeczeństwa takiego jak moje.

## **Co Twoim zdaniem warto zrobić i czego warto spróbować w Twojej okolicy?**

**Marcelo:** Patagonia i półwysep Valdés słyną z niesamowitej flory i fauny, dlatego zawsze polecam wszelkie formy aktywności na świeżym powietrzu, z jak największym kontaktem z przyrodą, a więc trekking, kajaki, snorkelling i nurkowanie. Jeśli natomiast chodzi o specjały kuchni, Argentyna, a w szczególności jej wybrzeże, ma bardzo bogatą ofertę dań. Nie możemy zapominać o silnych wpływach kuchni hiszpańskiej i włoskiej, które nadają regionowi ten zróżnicowany smak. Gdybym miał coś polecić, to ze względu na bliskość morza wybrałbym ryby i owoce morza we wszelkiej formie.

## **W swojej pracy poznajesz dużo ludzi, z całego świata. Masz jakąś radę dla tych, którzy odwiedzają Brazylię i Pantanal po raz pierwszy?**

**Gil:** Brazylia jest piątym pod względem wielkości krajem świata, a jej krajobrazy i kultura należą do najbardziej zróżnicowanych. Warto zdawać sobie z tego sprawę. Pantanal to świetny region do obserwacji dzikiej przyrody. Jest nadal dość dziewiczy, dlatego moją radą byłoby: ciesz się widokami, zrób mnóstwo zdjęć, ale zostaw tylko ślady stóp, żeby zachować ten piękny i unikalny krajobraz. A my dołożymy wszelkich starań, żeby Twój pobyt tutaj był niezapomnianym wspomnieniem.

## **Jakie jest Twoje największe marzenie? Niekoniecznie związane z podróżami...**

**Marcelo:** Chciałbym, żeby przyszłe pokolenia mogły cieszyć się naszym regionem i Patagonią w pokoju i harmonii. W taki sam sposób, w jaki my doświadczamy jej dzisiaj.

**Gil:** Największe? Żeby ekoturystyka odgrywała większą rolę w zachowaniu naturalnego środowiska Pantanal. Turystyka mogłaby być przykładem dla polityków i właścicieli ziemskich, jak dbać o ten region. Mogłaby uświadomić im, jaki jest niesamowity przyrodniczo, ale też z jakimi zagrożeniami się mierzy. Myślę, że Pantanal mógłby stać się równie znany jak Amazonia. Poza tym poprzez zatrudnianie lokalnych mieszkańców region wzbogaci się gospodarczo.

**Leoncio:** Frederick Munné, francuski myśliciel, powiedział, że społeczeństwo bez granic, w którym moglibyśmy podróżować bez jakichkolwiek ograniczeń, uczyniłoby nas bardziej sprawiedliwymi, braterskimi i ludzkimi. To jest moje marzenie.



# PRZYRODNICZE WOW AMERYKI POŁUDNIOWEJ

*W Ameryce Południowej wszystko jest „bardziej”. Ludzie są bardziej żywiołowi, życie wyrazistsze, a przyroda nie ma sobie równych. To tu wracamy, żeby dać się zachwycić potęgze natury. To tu najczęściej słyszymy WOW od Was. Od gór po dżungłę, od pustyń po wodospady – przyroda Ameryki Południowej skrywa coś dla każdego zapaleńca natury.*



Zuzanna, Monika, Joanna



## **SOLNISKO SALAR DE UYUNI – BOLIWIA**

To najbardziej płaski teren na świecie. Odniesiecie tutaj wrażenie, że niebo schodzi się z ziemią. W porze suchej ziemia pokryta jest warstwą soli, tworząc geometryczne wzory, natomiast w porze deszczowej dodatkowo pojawia się warstewka wody. Wtedy salar zamienia się w gigantyczne lustro. W obu wariantach jest pięknie!





## **WODOSPAD IGUAÇU – ARGENTYNA, BRAZYLIA, PARAGWAJ**

Zbliżając się do wodospadów, teoretycznie wiecie, jak wielkiej siły możecie się spodziewać. Wiecie, bo wodospady słycać z daleka, widzieliście wcześniej zdjęcia, opowiadali Wam znajomi... A jednak zawsze przy pierwszym spojrzeniu na Iguazu na żywo widok zapiera dech! Potem przychodzi pora na zobaczenie wodospadów z rugiej strony, i kolejne WOW. >>



## RZĘKA CAÑO CRISTALES – KOLUMBIA

Często nazywana jest Kolorową Rzeką lub Rzeką Pięciu Kolorów, ale tak naprawdę nazwa Caño Cristales oznacza kryształową rzekę. Woda w rzece jest tak przejrzysta, że od czerwca do listopada można w niej obserwować kolorowe makrofity *Macarenia clavigera*. To one nadają jej fantastyczny czerwony, różowy lub limonkowy kolor, i to im rzeka zawdzięcza swoje potoczne nazwy. Caño Cristales płynie w Kolumbii w regionie Meta, w pobliżu miejscowości La Macarena. >>





## **PUSTYNIA ATAKAMA – CHILE**

Ta najsuchsza pustynia świata należy do najpiękniejszych krajobrazów Chile. Brak roślinności rekompensują z nawiązką formacje skalne, gejzery, gorące źródła i górujące w tle wulkany. Romantyczne nazwy poszczególnych regionów – Dolina Śmierci czy Księżycowa Dolina – dają przedsmak tego, co na nas czeka na miejscu. I faktycznie, dramatyczna i pofałdowana sceneria pustyni poraża swoim ogromem i urokiem.





Lodowiec Perito Moreno.

## **PATAGONIA – CHILE, ARGENTYNA**

Zajmuje zdecydowanie większy obszar niż pozostałe pozycje na naszej liście, ale zwyczajnie nie możemy się zgodzić, który szczyt czy lodowiec miałby reprezentować całą Patagonię. Czy miałby to być legendarny szczyt Cerro Torre czy Fitz Roy? Lodowiec Perito Moreno czy panorama Torres del Paine? Jeśli Wam się uda podjąć tę niemożliwą decyzję, dajcie nam znać! Póki co, dla nas cała Patagonia wywołuje WOW. >>



Cerro Torre.

Torres del Paine.



## WYSPI GALAPAGOS – EKWADOR

Wyspy Galapagos słyną oczywiście z żółwi słoniowych, jednych z największych żółwi na świecie. Żyje tu jednak dużo więcej ciekawych zwierząt: lwy morskie i kotiki, legwany morskie i lądowe, głuptaki niebieskonogie, pingwiny równikowe czy nietolne kormorany galapagoskie. Wszystkie to gatunki endemiczne!

Gdyby komuś było mało fauny, również flora Galapagos ma sporo do zaoferowania. Niesamowity krajobraz wyspy Plaza Sur tworzą czerwone sukulentki oraz mocno odcinające się na ich tle opuncje drzewiaste.



## TĘCZOWE GÓRY – PERU

Peruwiańskie Tęczowe Góry szturmem podbiły Internet i serca podróżników. Zdjęcia pasiastych kolorowych wzgórz wydają się wręcz nierealne. To kolejne WOW dla miłośników gór i ciekawych tras trekkingowych.

*Więcej o Kolorowych Górach w Peru dowiedzie się z następnego artykułu.*





# KOLOROWE GÓRY: JAK WYGLĄDA JEDNODNIOWY TREKKING

*Marzycie o zobaczeniu Kolorowych Gór w Peru? Sprawdźcie, jak wygląda jednodniowy trekking.*



Monika Kabacińska

Peruwiańskie Tęczowe Góry mogłyby zostać jednym z nowych cudów świata, przynajmniej naszym zdaniem. Sam trekking do tego miejsca do lekkich nie należy, za to z pewnością można go zaliczyć do kategorii szlaków niezwykle malowniczych, a cel jest tylko ukoronowaniem całej trasy. Ostatnio z powodu coraz większej liczby chętnych na ten trekking na naszych wyprawach do dawnego imperium Inków bywa naprawdę tęczo! Jeśli też wybieracie się do Peru i marzycie o zobaczeniu Kolorowych Gór, przeczytajcie, jak w praktyce wygląda trekking na Vinicunca, czyli Cerro Colorado.

## **KILKA FAKTÓW NA POCZĄTEK**

Peruwiańska góra Vinicunca, zwana również Górą Siedmiu Kolorów [hiszp. Montaña de sietecolores] czy Tęczowymi Górami [ang. Rainbow Mountains], swoje niezwykle barwy zawdzięcza różnym minerałom i substancjom zawartym w skale macierzystej, m.in. związkom siar-

ki, żelaza i magnezu. Region otworzył się na turystykę w 2016 roku i błyskawicznie stał się, po Machu Picchu, jedną z głównych atrakcji turystycznych Peru. Nie licząc więc, że na szlaku będziecie sami. Szacuje się, że w szczycie sezonu – od czerwca do sierpnia – odwiedza go 1500 osób dziennie.

Z meteorologicznego punktu widzenia najkorzystniej wybrać się na trekking między marcem a listopadem, a największe szanse na słońce i błękit nieba będziecie mieć peruwiańską zimą, czyli we wspomnianym szczycie sezonu. Warto jednak sprawdzić prognozę pogody przed trekkingiem – po opadach śniegu zbocza Kolorowych Gór będą... białe.

Aby zminimalizować ryzyko tłumów, wybierzcie roboczy dzień tygodnia i omijajcie końcówkę maja i początek czerwca – w tym czasie do położonego na zboczu pobliskiej góry Sinakara sanktuarium Quyllur Rit'i pielgrzymują tysiące Peruwiańczyków i turystów. Mimo >>



znanej z religii katolickiej formy pielgrzymki, uroczystości skupiają się głównie wokół wierzeń lokalnych. Święto jest ruchome (wypada zazwyczaj w tygodniu poprzedzającym Boże Ciało), a obchody trwają około tygodnia.

### **JEDNODNIOWY TREKKING Z CUZCO**

Zdecydowana większość odwiedzających przyjeżdża do Vinicunca z Cuzco na jeden dzień.

Jednodniową wycieczkę można kupić niemalże w każdej agencji w Cuzco, zarówno na miejscu, jak i przez Internet. Mniej popularną wersją wycieczki jest poszerzenie jej o zejście ze szczytu inną trasą – przez Czerwoną Dolinę (hiszp. Valle Rojo). Jest to propozycja skierowana do wprawnych wędrowców, którym niestraszne szybkie tempo schodzenia. Wybierając agencję, zwróćcie zatem uwagę na trasę trekkingu oraz świadczenia zawarte w cenie wycieczki. >>





Drugą opcją jest trekking na własną rękę. Na dzień dzisiejszy publiczne środki transportu docierają tylko do Putimarcu, skąd trzeba zorganizować taxi do Anchipachi. Istnieje również możliwość wynajęcia prywatnego transportu z Cuzco.

**WAŻNE: Najwyższy punkt podczas tego trekkingu znajduje się na wysokości około 5200 m n.p.m., ogromne znaczenie ma więc odpowiednia aklimatyzacja. Sam szlak nie powinien stwarzać trudności technicznych nawet mniej doświadczonym piechurom. Główna jego trudność polega na przebywaniu na dużych wysokościach nad poziomem morza.**

## SCENARIUSZ TREKKINGU

Program jednodniowego trekkingu przebiega według schematu wyglądającego podobnie, niezależnie od organizatora, którego wybierzemy.

Wyruszamy z Cuzco około 3–4 rano. Dobrze jest zatem poprzedniego dnia zaopatrzyć się w prowiant (czekoladę lub wysokokaloryczne batony, bakalie i oczywiście liście koki) i położyć się wcześniej spać. Przejazd z Cuzco do Quesoyuni, czyli punktu rozpoczęcia trekkingu, trwa około 3 godzin. Dobra wiadomość: przez pierwsze 2 godziny droga jest asfaltowa, więc ze spokojem można pospać. Ostatnia godzina to już wyboista droga szutrowa, za to z pięknymi widokami i postojem na śniadanie. Posiłek przeważnie jest wliczony w cenę wycieczki, a w prostym menu znajdziecie zazwyczaj lokalny słodki chleb, marmoladę, ser, kawę i herbatkę z liści koki.

Po śniadaniu przewodnik omówi zasady panujące na szlaku oraz poda godzinę, o której należy stawić się z powrotem na parking. Będzie też możliwość wypożyczenia kijków trekkingowych (koszt: ok. 15 soli za parę). Na początku szlaku znajduje się punkt kontrolny, gdzie należy kupić bilet wstępu (za ok. 10 soli na osobę; część agencji wlicza bilet w cenę wycieczki).

Z punktu startowego do punktu widokowego jest do pokonania około 5,5 km. Szlak to szeroki, wydeptany pas wiodący dnem doliny o delikatnym stopniu nachylenia. Nie ma żadnych rozwidleń, więc każdy może iść w swoim tempie bez obawy, że się zgubi. A skoro o tempie mowa: według lokalnych przewodników wytrawnemu i odpowiednio zaaklimatyzowanemu wcześniej piechurowi pokonanie tej trasy zajmie około 1,5 godziny, mniej doświadczonemu – 2–2,5 godziny, a turyście uprawiającemu trekkingi okazjonalnie – około 3 godzin. Nie zmienia to faktu, że szlak jest łatwy, a jedyną trudność może stanowić wysokość nad poziomem morza. Gdy opadniecie z sił, można wynająć konia, który zawiezie Was pod ostatnie podejście na punkt widokowy (koszt to ok. 100 soli w obie strony, ale można wynajmować konia na krótsze etapy lub tylko w jedną stronę. Pamiętajcie, że po przejeździe wypada dać napiwek osobie prowadzącej konia).



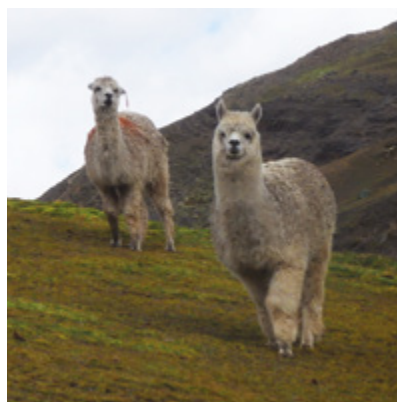
W drodze będziecie mijać tradycyjne chaty pasterskie i zagrody dla koni, a na zboczach doliny i wzdłuż strumieni zobaczycie stada lam i alpак – iście sielskie widoki. Mieszkańcy doliny rozstawiają też kramiki, gdzie sprzedają drobne przekąski i herbatę z koki. W pobliżu domów można skorzystać z toalety (płatne ok. 2 sole). Po dojściu na przełęcz u podnóża tęczowego grzbietu warto wejść jeszcze kawałek wyżej, skąd rozciąga się niesamowita panorama Tęczowych Gór, Czerwonej Doliny i okolicznych szczytów. Przy dobrej pogodzie zobaczycie również ośnieżony wierzchołek Ausangate (6385 m n.p.m.). W tej idealnej scenerii będziecie mieć wystarczająco dużo czasu na pamiątkowe zdjęcia i podziwianie okolicy. Pilnujcie jednak czasu, by o odpowiedniej godzinie wyruszyć w drogę powrotną tą samą drogą (czas przejścia będzie mniej więcej o 0,5–1 godziny krótszy od czasu wejścia).

Jeśli wybieriecie wycieczkę w wersji Valle Rojo, z przełęczą skierujecie się na drugą stronę tęczowego grzbietu i jego zachodnim zboczem zejdziecie w stronę Czerwonej Doliny. Ta trasa jest dłuższa, a szlak węższy, więc przewodnik będzie pilnował tempa. Na końcu szlaku (zarówno w wersji klasycznej, jak i rozszerzonej o Valle Rojo) turystów odbiera bus i zabiera do jednej z wiosek na obiad w formie bufetu (do wyboru są również dania wegetariańskie i wegańskie). Posiłek przeważnie jest wliczony w cenę wycieczki. W tym miejscu oddacie też wypożyczone wcześniej kijki trekkingowe. Po posiłku busy ruszają w drogę powrotną do Cuzco, gdzie dojeżdżają około 19.00.

W przypadku trekku solo trasa przebiega tym samym szlakiem, a powyższe ramy czasowe są również rekomendowane, natomiast bilet wstępu i posiłki kupuje się we własnym zakresie.

## CO ZABRAĆ ZE SOBĄ?

Do każdego trekkingu należy się odpowiednio przygotować. Podstawą sukcesu – poza aklimatyzacją, czyli stopniowym przyzwyczajaniem organizmu do dużych wysokości – jest dobór odzieży. Pakując się w Cuzco, leżącym na wysokości około 3400 m n.p.m., pamiętajcie o tym, że najwyższy punkt podczas trekkingu będzie na około 5200 m n.p.m. Poza tym pogoda w górach lubi płać fi- >>



gle. Koniecznie weźcie wygodne trekkingowe buty, bluzę polarową, kurtkę przeciwdeszczową, zimową czapkę i rękawiczki (nawet jeśli w Cuzco spacerowaliście w bluzce z krótkimi rękawami), okulary przeciwsłoneczne i krem z filtrem 50 SPF. Poza tym zabierzcie dużo wody!

***Po tym kolorowym trekkingu Wasze wspomnienia przez długi czas nie zblakną.***



# KOLOREM BRAZYLII JEST ZIELONY

*Zieleń na fladze Brazylii symbolizuje rozległe lasy porastające cały kraj, a żółć – złoto, które w minionych wiekach wabiło konkwistadorów i kolonizatorów.*



Maciej Makarewicz

Po gorączce złota pozostały do naszych czasów tylko stare kopalnie, otwarte obecnie dla turystów, a także fragmenty Złotego Szlaku, którym ten cenny kruszec transportowano niegdyś do portów i dalej na Stary Kontynent, do Europy. A zieleń, na przykład ta w Amazonii? Mimo że zdawała się bezkresna i wieczna, dziś musi mierzyć się z destrukcyjnym działaniem człowieka i... mieć nadzieje na odrodzenie.

Kiedy samolot przymierza się do lądowania na lotnisku Galeao, szczęśliwcy siedzący przy oknie mogą myśleć, że za chwilę postawią stopę w najpiękniejszym miejscu na Ziemi. Spoglądają na pokrzywioną, niezwykle atrakcyjną linię brzegową, w którą łapczywie wgrzyza się błękitny ząb oceanu. Ten ząb, który pierwsi eksploratorzy mylnie wzięli za ujście rzeki, to tak naprawdę zatoka Guanabara, nad którą z upływem lat rozrosła się metropolia, nie bez powodu nazywana Cidade Maravilhosa, czyli „cudownym miastem”. Rio de Janeiro.

Z lotu ptaka widać coś jeszcze – zielony gorset ciasno opasający miasto. Tworzy go puszcza Tijuca, czyli las deszczowy należący do największych na świecie kompleksów leśnych znajdujących się w obrębie granic administracyjnych miasta. Gdyby Rio de Janeiro przyrównać do żywego organizmu, Tijuca bez wątplenia byłaby jego sercem. To ona – soczyście zielona, wilgotna i bujna – zapewnia dostawy pierwiastków życia mieszkańcom metropolii. Gdy w XVII wieku ów las wykarczowano, by pozyskać przestrzeń pod intratne plantacje kawy i trzciny cukrowej, okazało się, że w Rio zaczęło brakować wody, a ludziom zbyt często doskwierała duchota. Na decyzję o zaprzestaniu deforestacji było za późno – należało na nowo sztucznie zasadzić całą puszcę! Tylko dzięki tym uporczywym zabiegom majora Archera, któremu powierzono odtworzenie atlantyckiego lasu, współcześnie w Tijuca rozwija się bujnie fauna i flora. Są tutaj urokliwe ścieżki spacerowe, na przykład do lokalnych wodospa- >>



dów czy do tarasu Vista Chinesa, z którego rozpościera się spektakularny widok na panoramę miasta. Dziś nad dobrobytem tych zielonych terenów czuwa ze szczytu Corcovado najsłynniejszy z symboli Rio de Janeiro, który puszcę Tijuca ma (dosłownie) u swych stóp.

Na południowy zachód od „cudownego miasta” – od Itaguaí aż do przedmurza São Paulo – rozciąga się wybrzeże Costa Verde. Nie bez powodu ma ono w nazwie „zieleń”, bo porośnięte dziewiczym lasem góry przegładają się tu w turkusowych wodach Oceanu Atlantyckiego. W celu ochrony unikatowości tego miejsca utworzono Park Narodowy Serra da Bocaina oraz aż trzy parki stanowe. Jednak to nie wszystko – od 2019 roku Zielone Wybrzeże figuruje na Liście Światowego Dziedzictwa Kulturalnego i Przyrodniczego UNESCO. Doceniono je zarówno ze względu na różnorodność przyrodniczą, jak i krajobraz kulturowy. Znalazło się na niej głównie dzięki kolonialnemu nadmorskiemu miasteczku Paraty. Właśnie w tutejszym porcie miał swe zwieńczenie wspomniany wcześniej Złoty Szlak. Spacerując labiryntem wybrukowanych ciasnych uliczek, pośród kilkusetletnich kamienic z kolorowymi, często też zielonymi okiennicami, ma się wrażenie, że człowiek cofa się w czasie. Na szczęście wieki, w których zwożonych na masową skalę afrykańskich niewolników traktowano niczym podludzi, minęły bezpowrotnie.

Jest jednak w Brazylii inne miejsce, wciąż najbardziej (choć już coraz mniej) zielone, które z otwartymi ramionami przyjąłoby powrót do stanu sprzed kilku, a najlepiej sprzed kilkuset lat.

***Postępująca w szaleńczym tempie wycinka, a także pożary ostatnio trawiące puszcę sprawiły, że nad losem Amazonii świat wstrzymał oddech. Jakże znamienne jest zresztą mówienie o respiracji, gdy Amazonię zwykło się określać „zielonymi płucami Ziemi”.***

Polityka obecnego prezydenta Brazylii, Jaira Bolsonaro, który okazując wdzięczność za wyborcze poparcie hodowcom bydła, przekazuje im coraz rozleglejsze obszary dawnego bezcennego lasu, to tak naprawdę tylko wierzchołek góry lodowej. Wycinka zaczęła się bowiem znacznie wcześniej. Na szczęście rosnąca świadomość globalnych zmian klimatycznych, fale protestów na ulicach Brasílii, Rio de Janeiro czy São Paulo, zamrożenie funduszu państw zachodnich na rzecz Amazonii i nagłośnień zagrożenia dla przetrwania rdzennej ludności dały impuls – na widmo zagłady, które zawisło nad Amazonią, z uwagą spogląda cały świat. I mimo że w tej kadencji Bolsonaro raczej nie wycofa się ze swych toksycznych obietnic wyborczych, warto wierzyć, że po nim >>





serca Brazylijczyków skradnie polityk o zupełnie innych poglądach, nieważne, czy z prawego, czy z lewego skrzydła. W końcu zieleń to kolor nadziei.

Zielone szlaki w Brazylii prowadzą też do miejsc, w których natura pokazuje swą potęgę i wyższość nad cywilizacją. Z nieokreślonych, otoczonych dżunglą wodospadów Iguaçu, których wody przed spadkiem z wysokości muskają gęste kępy drzew, palm i paproci, względnie blisko jest do wciąż dobrze skrywanego sekretów Brazylii: regionów Bonito i Pantanal. Jaskinie wypełnione wodą, śródskalne akweny i krystaliczne potoki w Bonito to wymarzone miejsce do nurkowania oraz podziwiania podwodnego życia roślin i zwierząt. Domeną Pantanal są zaś mokradła, stawiane w swej malowniczości zaraz obok florydzkiego rezerwatu bagiennego Everglades... tyle że prawie dziesięć razy od niego większe. Mało które miejsce może poszczycić się tak imponującą bioróżnorodnością!

***Chcicie odbyć podróż, która połączy wszystkie te miejsca? Śmiało, macie zielone światło!***



# CZY ZDJĘCIE MOŻE UKRAŚĆ DUSZĘ?

*Aparat fotograficzny jest jednym z najważniejszych i najczęściej spotykanych elementów turystycznego ekwipunku. Wielu z nas nie wyobraża sobie wakacji bez pstryknięcia zdjęć odwiedzanym miejscom i spotykanym ludziom. Jednakże z etycznego punktu widzenia czym innym są wakacyjne fotki wodospadów i gór, a czym innym mijanych ludzi.*

dr Paweł Cywiński  
z portalu post-turysta.pl

## 1.

Willy Warstad ponad sto lat temu proroczo ogłosił, że – w opozycji do epoki słowa pisanego – nadchodzi czas „kultury oka”. I nie pomylił się. Jak zauważył Piotr Sztompka w książce pt. *Socjologia wizualna. Fotografia jako metoda badawcza* (Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2005 r.), obecnie to głównie „obraz konstruuje, artykułuje nasze postrzeganie świata. (...) Patrzymy tym samym przez pryzmat stereotypów obrazowych”. Wszzechobecna fotografia od urodzenia uwrażliwia nas na szczegóły, estetyzując zarazem naszą codzienność, w naturalny sposób rozwijając w nas sposób myślenia fotograficznego – momentalność czy ulotność – oraz kształtując naszą pamięć i postrzeganie świata z perspektywy obrazowej.

Poważna refleksja filozoficzna nad statusem fotografii trwa niemalże od samego wynalezienia aparatu fotograficznego. Jednak od kilku dekad głównym przedmiotem tejże debaty stała się reprezentacyjna moc zdjęcia. Dziś wszyscy już zgodnie zwracają uwagę, że to kontekstualność i konwencjonalność fotografii, a nie obraz sam w sobie, stanowi o przekazie z niej płynącym. Warto w związku z tym podkreślić za Kingą Siewior, że zdjęcie „nigdy samo w sobie nie może być adekwatnym dowodem istnienia zjawiska. (...) Obraz fotograficzny – ze swej natury fragmentaryczny – zyskuje sens jedynie w kontekście słowa” (cytat z książki Kingi Siewior, *Odkrywczy i turyści na afrykańskim szlaku*, Wydawnictwo Universitas, Kraków 2012 r.).

## 2.

Na przekaz wy wpływający ze zdjęcia, przekaz, który zawsze posiada cechy wartościujące, wpływa wiele elementów pobocznych – jednym z ważniejszych jest kontekst przestrzenny umieszczenia danej fotografii. Widz inaczej odbierze slajdy u znajomych podczas suto zakrapianego wieczoru, inaczej fotografie zawarte w książce podróżniczej, inaczej w albumie krajoznawczym, a jeszcze inaczej w wydawnictwie naukowym. Nawet jeżeli za każdym razem byłoby to to samo zdjęcie. Równie istotny w definiowaniu sensu zdjęcia jest podpis pod nim, jego opis bądź tytuł – oznaczenie takie jest często pierwszym i najważniejszym bodźcem naszej interpretacji oglądanego widoku.

Nie mniej ważne jest jednak coś dużo trudniej uchwytanego, mianowicie pewna gra relacyjna, którą obraz z fotografii toczy z wyobraźnią oraz systemem skojarzeń oglądającego. Ta relacja jest swoistym kółkiem hermeneutycznym, albowiem z jednej strony to oglądający za każdym razem odczytuje sens zdjęcia na podstawie własnych skojarzeń, wyobrażeń bądź zewnętrznych bodźców, z drugiej, zdjęcie może również przyczynić się do konstrukcji owych skojarzeń i wyobrażeń.

Jednakże teoria teorią, a praktyka praktyką. W publicznym odbiorze nadal powszechnie zauważyć można naiwną wiarę w dokumentującą moc i bezpośrednią prawdziwość przekazu fotograficznego. Wiarę w to, że fotografia >>



wyzwała spojrzenie, pomijając elementy kontekstu i medium w niej zawartego. Dlatego też „fotografia turystyczna może być symbolicznym narzędziem przemocy i panowania. Jej destrukcyjna siła drzemie w tym, że uchodzi ona za miniaturę rzeczywistości, a nie produkt kulturowy czy ideologiczny. Traktowana jest jako fragment świata, jako prawda – a nie komentarz. Podczas gdy zdjęcie zawsze jest wynikiem czynnego konstruowania sensu” (z artykułu Pawła Cywińskiego pt. *Ludzkie zoo*).

Dlatego niech mottem górującym nad rozważaniami dotyczącymi fotografii stanie się zdanie Kingi Siewior z jej doskonałej monografii dotyczącej wizerunków Afryki tworzonych przez polskich podróżników: „Jeśli zdjęcie jest odzwierciedleniem rzeczy materialnej, to automatycznie staje się i odzwierciedleniem niematerialnego sposobu jej widzenia”.

### 3.

A jak turyści widzą świat? Fotografia wakacyjna bardzo często jest reprodukcją „turystycznego spojrzenia”, będącego wypadkową turystycznych praktyk i wyobrażeń o świecie. Czym owo spojrzenie jest? „W 1976 roku Dean

MacCannell napisał książkę, która zrewolucjonizowała dotychczasowe myślenie o turystyce: *Turysta. Nowa teoria klasy próżniaczej*. Zwrócił on w niej uwagę, iż pierwszy kontakt zwiedzającego z określonym obiektem turystycznym (...) zazwyczaj nie polega na zetknięciu się z nim samym, lecz z jakimś jego przedstawieniem – w przewodniku turystycznym, folderze reklamowym, programie telewizyjnym, artykule internetowym czy choćby na widokówce.

O krok dalej poszedł inny wybitny socjolog, John Urry – stwierdził on, że turyści często wcale nie podziwiają rzeczywistych widoków, a skupiają się wyłącznie na wyszukiwaniu tychże wyidealizowanych przedstawień. A to poszukiwanie przez zwiedzających owych charakterystycznych znaków potwierdzających ich wyobrażenie o wakacyjnym miejscu nazwał spojrzeniem turysty” (Paweł Cywiński, artykuł pt. *Ludzkie zoo*).

Turystyczne spojrzenie jest więc szukaniem tego, co się kojarzy i czego się spodziewa. Tym samym współcześni turyści – obywatele „kultury oka” – stali się kolekcjonerami obrazów i poruszają się w doskonale wcześniej zobrazowanych przestrzeniach, pozytywnie ocenionych jako >>



wartościowe z punktu widzenia atrakcyjności turystycznej przez turystycznych narratorów.

#### 4.

Idąc dalej tym tropem, fotografia turystyczna stała się zaledwie konsekwencją interpretacji konkretnej rzeczywistości. Interpretacji, której fundamenty powstały na długo przed samym momentem wykonania zdjęcia. Jaki z tego może wyłonić się wniosek? Jak zauważyła Kinga Siewior, turystyczne „spojrzenie, a także praktyki jego reprezentacji (wizualizacji i tekstualizacji) okazują się nierozzerwalnie związane z czynnikami zewnętrznymi. Powstałe w efekcie obrazy przedstawiają nie świat obiektywny sam w sobie, ale raczej jego podmiotowe interpretacje”. Zwracam uwagę na słowo „podmiotowe” – pamiętając, że sytuacja ta dotyczy często fotografowania innych ludzi, czyli jest elementem relacji interpersonalnych. A fotografowanie człowieka jest czymś o wiele bardziej skomplikowanym etycznie niż fotografowanie wodospadu czy samochodu.

Emanuel Levinas w swojej filozofii dialogu i wielkich rozważaniach na temat spotkania z Innym wyodrębnił dwa zupełnie różne sposoby postrzegania drugiego człowieka. Pierwszy z nich nazywał „patrzeniem na twarz”, czyli patrzeniem na kształt nosa, kolor skóry i inne cechy fizyczne i estetyczne. Jest to spojrzenie, w którym obserwator nie dostrzega prawdziwego człowieka, a zaledwie widok lub zespół wyobrażeń na jego temat. Drugie spojrzenie nazwał „patrzeniem w twarz” – różni się ono od pierwszego dostrzeżeniem w twarzy

istoty człowieczeństwa, spojrzeniem na Innego, człowieka takiego samego jak ja – patrzący, spojrzeniem w sposób dialogiczny. Pierwsze spojrzenie jest zatem skrajnie uprzedmiotawiające, drugie dąży do partnerstwa, upodmiotowienia, braterstwa ze spotkanym Innym.

Jak to się ma do zdjęć? Patrząc przez obiektyw na drugiego człowieka, bardzo łatwo patrzeć mu wyłącznie na twarz. Widzieć w nim zdjęcie, widok, krajobraz, trofeum przywiezione ze swoich dalekich wakacji. Patrzenie w twarz za pomocą obiektywu wymaga wielkiego zaangażowania fotografa w relacje z drugim człowiekiem i wyzwolenia się ze spojrzenia turystycznego.

#### 5.

Turysta, fotografując, wytwarza pewne sensory, które z jednej strony opisują fotografowany przedmiot, z drugiej konstytuują turystyczną tożsamość własną fotografa. Fotografia wakacyjna jest bowiem często „swego rodzaju turystycznym spojrzeniem zwielokrotnionym, reproduktorem owych stereotypowych znaków. Na wakacje jedzie się, by zobaczyć widoki znane ze zdjęć. Gdy widoki te się odnajdzie, to robi się im własne zdjęcia. Po powrocie pokazuje się je rodzinie i znajomym. Dzięki nim i oni wiedzą, dlaczego warto tam pojechać i na co zwrócić uwagę. Spojrzenie turysty odtwarza i odnawia się bez końca. Jednakże czasem proces ten ogniskuje się nie na piramidzie, lecz na stygmatyzowaniu drugiego człowieka. A to całkowicie zmienia perspektywę etyczną” (Paweł Cywiński, artykuł pt. *Ludzkie zoo*). Jest to swoista kulminacja procesu uprzedmiotawiania świa-





ta gospodarzy. Albowiem przemieniając miejsca i ludzi wyłącznie w widoki, automatycznie zaczyna się je traktować przedmiotowo.

Bardzo wymownym przykładem owej przepaści pomiędzy turystą a lokalnym mieszkańcem jest fakt, że „dla wielu turystów zdjęcie stało się ważniejsze niż człowiek. Ważniejsze niż teraźniejsza chwila. Ważniejsze niż zamienienie choćby zdania z fotografowaną osobą, niż jakakolwiek interakcja. I to ta hierarchia decyduje o uprzedmiotowieniu drugiego człowieka, o zamianie relacji towarzyskich w zoo-relacje” (Paweł Cywiński, *Ludzkie zoo*). Jak zauważyła Kinga Siewior, „Spojrzenie jest hierarchizujące, opiera się na psychologicznej relacji władzy, w której patrzący zajmuje niesymetryczną pozycję względem obiektu postrzeganego”.

Aparat pozwala bowiem postawić się obok, jeszcze bardziej znieść obowiązujące w danej chwili i miejscu normy i zasady. Jest to specyficzna pozycja uczestnicząca, w której wolno więcej tylko dlatego, że ma się aparat obudowany misją zdobycia dobrego widoku. A fotografia podporządkowuje sobie fotografowany obiekt. Dlatego też każde oglądane zdjęcie turystyczne powinno przypominać nam o relacji wiedzy i władzy, która jest podstawą myśli postkolonialnej. Z pozoru niewinna fotografia bardzo łatwo może stać się bowiem orężem

neokolonializmu turystycznego.

W tym kontekście warto zwrócić uwagę również na język fotograficzny, przepełniony metaforami rodem z polowania na zwierzynę. Susan Sontag w książce *O fotografii* (Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1986) skomentowała to w sposób następujący: „Pogląd, iż rzeczywistość jest egzotyczną zdobyczą, którą wytropić ma i pochwyć pilny myśliwy z aparatem, przyświecał fotografii od jej zarania”. Niewątpliwie słownictwo typu „strzelić zdjęcie”, „klatka fotograficzna” czy „wycelowany aparat”, wzmacnia, choćby podświadomie, przepaść pomiędzy podmiotem fotografującym i przedmiotem fotografowanym. Przepaść, którą powinno się starać zasypywać, patrząc drugiemu człowiekowi prosto w twarz.



WIĘCEJ O POSTTURYSTYCE  
PRZECZYTAJ NA  
[www.post-turysta.pl](http://www.post-turysta.pl)



*Jezioro Atitlan, Gwatemala.*

# AMERYKA ŚRODKOWA



# ADRENALINA Z LENIWCAMI

*W Ameryce Środkowej czujesz, że żyjesz.*



Joanna Antkowska

Mógłbyś polegiwać w hamaku czy przesiadywać w kafejce i popijać kawę za kawą, ale tego nie robisz. Za to decydujesz się na spędzenie czasu zdecydowanie poza strefą komfortu – dajesz się zawiesić na linie nad lasem chmurowym, rzucasz się na oceaniczne fale, zjeżdżasz na desce z aktywnego wulkanu. Adrenalina buzuje w całym ciele, krew pulsuje w skroniach, a uśmiech nie schodzi z twarzy...



## **KIEDY SURFUJESZ NA FALACH OCEANU – SALWADOR: EL TUNCO**

Piękny poranek. Słońce grzeje od rana, a ja siedzę w hamaku na tarasie małego hoteliku La Guitarra w El Tunco w Salwadorze, prowadzonego przez sympatyczną Hiszpankę. Przede mną ogromny Ocean Spokojny. Jakże figlarna jest ta nazwa, bo spokojny to on wcale nie jest. Ogromne fale przypluwają i odpływają, a ja nie mogę się nadziwić umiejętnościom surferów. Przybywają tu ze wszystkich zakątków świata, bo jest to niebywałe miejsce do ćwiczeń tej szalonej dyscypliny. To jazda na specjalnie przystosowanej desce, unoszonej przez czoło fali morskiej. Największy efekt osiąga się właśnie na przybrzeżnych falach oceanicznych.

Dziś i ja spróbuję położyć się na desce. W El Tunco jest wiele szkółek, w których można się uczyć tego ekstremalnego sportu. José Alejandro będzie moim instruktorem. Wybieram deskę w błękitnym kolorze i tłumaczę José, że chcę tylko poznać podstawowe zasady. Wiem, >>

że nie mam odwagi ani tyle sił, żeby stanąć kiedyś na desce i sunąć po fali.

– Nauczę cię na niej siedzieć – mówi instruktor.

Na moje szczęście fale trochę się uspokoiły. Wchodzimy do wody i zaczynam walkę z żywiołem. To naprawdę trudne zadanie. Wywracam się wielokrotnie, ale w końcu po godzinie udaje mi się, siedząc, złapać falę i się nie przewrócić. To uczucie zwycięstwa daje mi niesamowicie dużo frajdy. Po 3 godzinach intensywnego treningu marzę o tym, by znaleźć się na hamaku w moim hoteliku, kupić sobie kilka pupusas (placków kukurydzianych z nadzieniem – przysmaku Salwadorczyków) i oglądać wyczyny surferów z tarasu. Już wiem, jakie to trudne, ale też doskonale rozumiem, dlaczego ci ludzie przyjeżdżają tu dla tych fal i oddają się temu szaleństwu całymi dniami. Ale jestem głodna!

Wieczorem obejrzę spektakl najpiękniejszego zachodu słońca nad oceanem, a potem, wciąż patrząc na ocean, będę słuchać muzyki jazzowej w moim małym hoteliku La Guitarra.

## **KIEDY EKSPORUJESZ JASKINIE, A POTEM SPŁYWASZ NA OPONACH TROPIKALNĄ RZEKĄ – GWATEMALA: SEMUC CHAMPEY**

Droga do Semuc Champey od początku usiana jest przygodami. Jedziemy przez góry. Trasa wiję się w górę i w dół, i czasem samochód grzęźnie w błocie, wymagając od nas potem nie lada wysiłku, by jechać dalej. Po każdej takiej sytuacji zastanawiam się, czy warto jechać w samo serce lasu tropikalnego Gwatemali.

Dojeżdżamy wieczorem. Już sam wjazd do Semuc Champey, wśród pięknej, gęstej zieleni ogromnych li-

ściastych krzewów, kradnie moje serce. Kwaterujemy się w hoteliku Las Marias. Za kontuarem wita nas para młodych chłopaków. Idziemy spać, wyczekując poranka.

W nocy budzę się wiele razy, spoglądając przez okno, czy już nadszedł świt. Czeka nas niesamowity dzień w cudownym miejscu na świecie.

Przyroda stworzyła tutaj mały raj. Semuc Champey to 300-metrowej długości most wapienny w samym środku dżungli, z naturalnymi wodospadami i rzeką płynącą pod nim. Jej wody mają intensywnie morski kolor, czasem przechodzący w turkus, a baseny z krystalicznie czystą wodą zachęcają do kąpeli. Piękna barwa naturalnych basenów w Semuc Champey jest wynikiem obfitości minerałów tej ziemi. Ten cud świata jest schowany w gęstym tropikalnym lesie w pobliżu miasteczka Lanquin w departamencie Alta Verapaz w Gwatemali.

Jemy bardzo syte śniadanie, jak typowy Gwatemalczyk: czerwoną fasolę z tortillą, jajkiem i bananem. Banan jest obecny w każdej potrawie w Gwatemali i łączy się go nawet z mięsem. Po takim śniadaniu możemy aktywnie rozpocząć dzień.

W pobliżu Semuc Champey znajduje się jaskinia K'an Ba Cave. Wchodzimy do niej w strojach kąpielowych i kamizelkach, ze świeczkami w rękę. Świeczki nie napawają nas optymizmem, ale szybko się rozluźniamy i nawet żartujemy. Odwiedzałam już jaskinie w Tajlandii i na Filipinach, w Sagadzie, również w towarzystwie młodych lokalnych przewodników, którzy znali ich każdy zakamarek. Czuję się bezpiecznie. Wspinamy się po drabince, przeciskamy w wąskich przestrzeniach jaskini, a to wszystko po pas w wodzie, wśród stalaktytów i nietoperzy. Przeciągamy się na linie w ciemnościach, które ledwie rozpraszają zapalone świeczki. Humory nam dopisują. >>



Po wyjściu z jaskini czeka nas spływ rzeką Cahabon na oponach. Jest gorąco, ale woda jest rześka i przyjemna. Płyniemy, podziwiając piękną przyrodę i góry dookoła. W pewnym momencie podpływa do nas jeden z mieszkańców i pyta, czy chcemy piwo. Śmiejemy się, bo przecież w tych warunkach portfela nie wzięliśmy. Handel jednak kwitnie, chłopak po swoją zapłatę przyjdzie wieczorem. Tymczasem ruszamy dalej w dół rzeki spokojnym tempem, już z piwem w dłoniach.

Kolejne wyzwanie. Posileni gwatemalskim burrito wchodzimy na El Mirador. Wspinamy się stromo w górę, a wszystko po to, by zobaczyć Semuc Champey w całej okazałości. Dopiero wtedy przekonujemy się, gdzie dokładnie jesteśmy i jakim cudem przyrody jest to miejsce. Krajobraz jest jak z bajki. Na koniec relaksujemy się w naturalnych basenach, które widzieliśmy z góry.

Jestem przyjemnie zmęczona – zarówno wysiłkiem, aktywnością, jak i wrażeniami. Widzę, że moja grupa też to odczuwa, jednak kiedy miejscowi organizują nam fiestę, bawimy się razem z nimi. My jesteśmy ciekawi ich, a oni nas.

## KIEDY ZJEŹDZASZ NA DESCE Z AKTYWNEGO WULKANU – NIKARAGUA: LEÓN

Nikaragua niezmiennie kojarzy mi się z wulkanami. Jest ich tam blisko 20. Najpiękniejszy to wulkan Momotombo. Jego symetryczny stożek stał się symbolem kraju. Jest wciąż aktywny i można się na niego wspiąć. Wędrówka na szczyt zajmuje cały dzień.

Kolejny ważny wulkan to Mombacho. Prawdopodobnie setki lat temu w wyniku jego wybuchu powstały wyspy na jeziorze Nikaragua. Jest ich tyle, ile dni w roku – aż 365. Wulkan należy do drzemiących.

Mam respekt do aktywnych wulkanów, ale ciekawość i chęć zobaczenia wypływającej z nich lawy zawsze zwycięża. Kiedyś zaprowadziła mnie na szczyt wulkanu Telica. Część drogi udało nam się pokonać samochodami

z napędem na cztery koła, ale na sam koniec musieliśmy wspiąć się do krateru. Widok był oszałamiający. Podziwialiśmy go w barwach zachodzącego słońca, a potem, gdy nastąpiła ciemność, zobaczyliśmy wydobywającą się zeń lawę. Siedzieliśmy na krawędzi i wpatrywaliśmy się jak osłupiali w pomarańczowe, rozżarzone skały magmowe. A w pobliskiej lawie, równie gorącej, ale nie do czerwoności, piekliśmy marshmallows i śmiałyśmy się, że należało zabrać kiełbaski.

Na każdym zrobi wrażenie wulkan Masaya, z którego często wydobywają się opary siarki. Kiedyś był otoczony kultem przez miejscowych Indian, którzy nazywali go Popogatape, czyli „góra, która parzy”. Hiszpanie jednak kojarzyli go z piekłem, dlatego nadali mu nazwę La Boca de Infierno („usta piekiel”).

Z kolejną grupą, liczącą 12 osób, odwiedzam jednak Cerro Negro („czarne wzgórze”) – najmłodszy wulkan w Ameryce Środkowej. To jedyny aktywny wulkan na świecie, z którego można zjeżdżać na desce snowboardowej. Dyscyplina ta ma nawet swoją nazwę: volcanoboarding. I po to właśnie do niego jedziemy.

Przyjeżdżamy pod sam stożek Cerro Negro. Jest cały czarny, a wokół piękna soczysta zieleń. Ten widok robi wrażenie. Każdy z nas dostaje deskę. Poinstruowani przez Andreeasa i Carlosa zakładamy plecaczki, a pod nie deski. Trekking do miejsca startowego trwa około 45 minut, idziemy w słońcu. Na samej górze przebieramy się w specjalne kombinezony do zjazdu, mają nas chronić w razie upadku. Wyglądamy w nich trochę jak ekipa do zadań specjalnych. Tak też się czujemy. Zaczynamy volcanoboarding. Każdy ma własny pomysł na to szaleństwo. Jedni próbują swoich sił na stojąco. Inni, kładąc się na desce, z zawrotną prędkością jadą w dół. Są i tacy, co na siedząco, jak na sankach, bez pośpiechu zsuwają się po zastygłej lawie.

Wracamy nad ocean do małego rybackiego miasteczka Penitas. Wyciszamy się po przygodzie z wulkanem. Jak tu spokojnie... >>



Zjazd z wulkanu Cerro Negro dostarczy wrażeń.

## KIEDY UDAJESZ TARZANA W LESIE CHMUROWYM – KOSTARYKA: MONTE VERDE

Granicę Nikaragui z Kostaryką przekraczamy w nieziemskim upale. Kolejka jest duża. Mnóstwo Nicos (biednych mieszkańców Nikaragui) próbuje dostać się do kraju szczęśliwych ludzi Ticos (Kostarykańczyków). Kostarykańczycy kochają zdrobnienia i dlatego tak na siebie mówią (z hiszp. *ico, ica* – przyrostek zdrobnień).

Pierwsze słowa Frana, naszego kierowcy, który zawiezie nas 1000 m w górę, do lasu chmurowego, to *pura vida*. *Pura vida* – „dzień dobry”, *pura vida* – „dobranoc”, *pura vida* – „mam się świetnie”, *pura vida* – „dziękuję”. To wyrażenie znane jest już na całym świecie i znaczy dosłownie: „czyste życie”, a potocznie: „wszystko jest świetnie, cudownie i super, bo jesteśmy w Kostaryce”.

W drodze do lasu chmurowego, gdzie wreszcie odpoczniemy od upału, Fran zawozi nas na lunch.

– Musicie spróbować naszego malowanego kurczaka (*gallopinto*) – zachęca.

To tradycyjna potrawa serwowana raczej na śniadanie, ale że pora jest wczesna, Fran upiera się, żebyśmy skosztowali tego dania. Największym jego sekretem jest salsa lizana, i tego sosu koniecznie trzeba spróbować w Kostaryce, a nawet zrobić sobie zapasy.

Po przyjeździe do Monte Verde nie możemy uwierzyć, że temperatura spadła tak drastycznie. Pada deszcz! Troszkę marudzimy, choć przed chwilą jeszcze chcieliśmy odpocząć od upału. Fran odpowiada, że las chmurowy to przecież właśnie duża kondensacja pary wodnej, która sprawia wrażenie ciągle obecnej mgły, deszczu i chmur. W tym lesie rośnie ponad 3000 gatunków roślin, żyje 100 gatunków ssaków, 400 gatunków ptaków, 120 gatunków płazów i gadów oraz tysiące motyli!

Wieczorem nasz gospodarz organizuje krótki spacer. Pokazuje nam leniwce i tarantule (doskonale wie, gdzie mieszkają), a nawet jadowitego węża. Jesteśmy pod wrażeniem jego wiedzy. Z uśmiechem na ustach mówi:

– W Kostaryce mamy najlepszą służbę zdrowia i antidotum na jad to nie problem.

Jak wszystko w Kostaryce.

Głębsza eksploracja tej bujnej przyrody musi poczekać na kolejny dzień.

Do wyboru mamy doskonale przygotowane aktywności, od spacerów po mostach wiszących w koronach drzew po szalone skoki na bungee.

Decydujemy się na zjazd na tyrolce. Liny do canopyngu zawieszane są wśród ogromnych drzew. Rozpoczynamy spokojnie, krótkimi zjazdami. Potem przesiadamy się na coraz dłuższe. Podczas zjazdu krzyczymy z radości i ze strachu.



Ziplining w Monte Verde.



Chwytnica kolorowa jest symbolem Kostaryki.

Idziemy coraz wyżej. Na sporej wysokości nagle dostają osobną linę do rąk. Mój opiekun przywiązuje mi drugą linę asekuracyjnie z tyłu i każe skakać. Jestem pierwsza w kolejce, więc nie mam wyjścia. Skaczę w przepaść, a potem huśtam się jak Tarzan na lianie. Krzyczę ze strachu tak głośno, że mój krzyk z pewnością słychać w całym lesie chmurowym. Kiedy zsiadam z tej linowej liany, nogi trzęsą mi się jak galareta. Przeżycie mimo to jest wspaniałe. Czeka nas jeszcze jeden zjazd na rozwieszonych linie na odcinku liczącym około kilometra. Tym razem zjeżdżamy ustawieni głową do przodu, z rękoma rozpostartymi niczym ptak. Tak też się czuję, jakbym leciała nad koronami drzew.

Przy kolejnej wizycie w Monte Verde ponownie zabieram grupę na canopying. Tęsknię za tym uczuciem!

I tak wracam i wracam do Kostaryki. A może zamieszkać w kraju szczęśliwych ludzi?



W Leon mężczyźni czekają na pracę.

Joanna Antkowska

# Pamiętna podróż do Nikaragui



*Wiecie, co jest najlepsze w podróżowaniu? To, że w nas zostaje na zawsze. Już nigdy nie będziemy tacy sami.*

Podróż nas odmieni, będzie odzywać się co jakiś czas, przypominać o sobie o przypadkowej godzinie w nocy i w dzień. Będzie dawała o sobie znać jak opiekuńcza mama, która wiele nas nauczyła. Przypomni nam się, jak było cudownie, albo że zdarzyło się to czy tamto, i wróci magia tamtej chwili, radość tamtych doznań.

Przypomni nam się też, jak niekiedy było nam źle, jak się baliśmy lub odczuwaliśmy dyskomfort. Też mi się to zdarza, ale wiem, że każda podróż, daleka czy bliska, warta jest podjętego wysiłku. Pozostawia we mnie coś, co zmienia moje postrzeganie świata, uczy i pozwala lepiej go rozumieć.

## **TWARDE LĄDOWANIE**

Ta pamiętna podróż po Nikaragui rozpoczęła się trochę nerwowo. Nie boję się latać, a jednak zdarzył mi się lot, po którym nogi trzęsły mi się jeszcze parę minut po wyjściu z samolotu. Lądowanie w Managui przez chwilę było koszmarem. >>



Podczas lotu mile rozmawiamy. Zbliżamy się już do celu podróży. Za oknami samolotu słychać burzę. Patrząc przez okno i oslepiam mnie błysk pioruna. Czuję lekki ścisk w żołądku, bo przeczuwam, z czym to się będzie wiązać.

Samolot podchodzi do lądowania dość niestabilnie. Wpadamy w dziury powietrzne, które wywołują dziwną lekkość w brzuchu. Zaczynam się bać i modląc się w duchu, czekam na moment zetknięcia się podwozia z ziemią. Wydaje mi się, że trwa to za długo. I kiedy już ma nastąpić, samolot z wielkim impetem ponownie wznosi się w powietrze. Zataczamy drugi krąg. W myślach powtarzam sobie, że wszystko będzie dobrze, chociaż moje nogi drżą i nie jestem w stanie tego opanować.

Na zewnątrz szaleje burza. W moim umyśle trwa to wieczność. Cichniemy, choć przed chwilą jeszcze rozmowa była taka zajmująca. Próbuję tłumaczyć sobie, że samolot to bezpieczny środek transportu. Za drugim podejściem, bardzo nieefektywnie bujając się na boki, lądujemy. Czuję ogromną ulgę.

Tak oto Managua, stolica Nikaragui, przywitała nas burzą i ulewą. Dziwnie wyciszeni jedziemy do hotelu i kładziemy się spać. Przez pewien czas jeszcze nie mogę się uspokoić. Po przebudzeniu lądowanie wydaje mi się bardzo odległe. A przy śniadaniu zaczynamy z niego żartować.

## PO BURZY WSTAJE SŁOŃCE

Ruszamy nad ocean. Słońce pięknie świeci. Już nikt nie pamięta wczorajszej burzy. Mijamy perfekcyjny stożek Momotombo, symbol Nikaragui, który w 2015 roku przebudził się po 110 latach i przestraszył mieszkańców, wyrzucając w powietrze ogromne chmury pyłu, popiołu i gazu. Podjęto plan ewakuacyjny okolicznych wiosek, zamknięto szkoły. Dla nas to śpiący Książę. Sięgamy po aparaty, z każdej strony wulkanu pstrykamy zdjęcia.

León i Granada, dwa śliczne miasta z kolonialną zabudową, od wieków toczyły boje o miano stolicy Nikaragui. I znów sprawdziło się powiedzenie: „Gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta”, bo stolicą została „brzydula” Managua, wielokrotnie zniszczona przez huragany i trzęsienia ziemi.

Kolejne miasto na naszej trasie to właśnie León. Urodził się tu słynny poeta Ruben Dario, laureat Nagrody Nobla. Jego szczątki spoczywają w pięknej katedrze na głównym placu. Wchodzimy na jej dach, podziwiamy wspaniałą panoramę. Widać stąd pobliskie wulkany.

Już niedługo udamy się na emocjonujący zjazd na deskach z jednego z nich – Cerro Negro. Jeszcze tylko kilka formalności i jedziemy do Penitas.

Na plaży w Penitas podglądamy życie mieszkańców: rybaków, kilku surferów i wszechobecnych dzieciaków. Ta plaża nie ma nic wspólnego z naszymi wyobrażeniami o wybrzeżu. Dla nas ocean to wakacje, odpoczynek, relaks. Tutaj nikt nie wyleguje się na słońcu. Toczy się codzienne życie, ludzie pracują. My jesteśmy tylko przybyszami z daleka. Musimy się dostosować. Spacerujemy i uśmiechamy się do miejscowych. Innych turystów prawie nie widać. W hoteliku gospodyni przygotowuje dla nas pyszne owo-

ce morza. Zauważamy, że dużo ludzi ubranych jest na biało. Szykuje się wesele! Sąsiad żeni się z dziewczyną z León. Mamy szczęście, będziemy świadkami wielkiej nikaraguańskiej imprezy. To nic, że będzie głośno. Cieszymy się, bo o to nam chodzi – chcemy poznać ten kraj i jego mieszkańców. Szybko bratamy się z panną młodą, która częstuje nas tortem weselnym i szaleje z nami na parkiecie.

## ZNOWU BURZA

Postanawiamy pojechać do León. Decydujemy się na chicken busa, czyli lokalny transport zbiorowy. To będzie taki mały smaczek dla moich turystów. Powtarzam im od rana, że może być niebezpiecznie i żeby uważali na aparaty fotograficzne. Jak myślicie, kto traci aparat przez nieuwagę? Tak, ja.

Dokładnie pamiętam chwilę, w której ostrzegałam uczestników wycieczki: „Uważajcie na złodziei”. Któryś z nich nawet zrobił mi wtedy zdjęcie: stoję przed chicken busem, mówię i gestykuluję, a aparat mam w kieszeni. W chicken busie już go nie mam, ktoś zabrał go, gdy ostrzegałam przed kradzieżami!

Tak właśnie wygląda podróż. Jak w kalejdoskopie: są chwile radosne i mniej udane. Strata aparatu boli; żal mi zrobionych już zdjęć, żal znajomego sprzętu. Podróżowanie sprawia mi frajdę, więc nie złość się. Jedziemy dalej!

## PODRÓŻ TO STYL ŻYCIA

Przyjmuję to, co przynosi podróż, bo świadomie się na nią zdecydowałam. Uczę się mnóstwa rzeczy, które mogę wykorzystać w codziennym życiu. Przede wszystkim jestem już doskonale zorganizowana. Lata praktyki i każde kolejne doświadczenie sprawiły, że idzie mi coraz lepiej (choć wcale nie było to proste). Znam języki krajów, do których wyjeżdżam najczęściej. Uczę się o historii i kulturze miejsc, które odwiedzę. Czytam nie tylko przewodniki, ale i książki napisane przez podróżników i lokalnych pisarzy.

W mojej drodze bardzo często pojawiają się trudności. Opóźnienia lotów czy zerwane linie trakcyjne, które krzyżują plany. Nie mam wpływu na pogodę czy sprzęt techniczny. Uczę się cierpliwości i zabezpieczam się na każdą ewentualność. Mam zapasowe ubrania w podręcznym bagażu, powerbanka, dodatkową baterię do aparatu itd.

Jak mawiał Ryszard Kapuściński, mistrz podróżniczego reportażu:

„Podróż przecież nie zaczyna się w momencie, kiedy ruszamy w drogę, i nie kończy, kiedy dotarliśmy do mety. W rzeczywistości zaczyna się dużo wcześniej i praktycznie nie kończy się nigdy, bo taśma pamięci kręci się w nas dalej, mimo że fizycznie dawno już nie ruszamy się z miejsca. Wszak istnieje coś takiego jak zarażenie podróżą i jest to rodzaj choroby w gruncie rzeczy nieuleczalnej”. (*Podróże z Herodotem*)

***Jestem nieuleczalnie zarażona podróżą.***

# Podwodne życie Belize



*Jest coś niezwykłego w możliwości obserwowania podwodnego życia. Uwielbiam to!*

Nie mam jeszcze uprawnień płetwonurka, ale snurkuje, gdy tylko mam możliwość. Podczas podróży wyszukuję ciekawe miejsca na świecie, do których ciągną nurkowie: morze Celebes przy wyspie Sipadan, Wielka Rafa Koralowa w Australii, Tajlandia, Filipiny, Egipt, Meksyk... Jednak w moim osobistym rankingu wszystkie te miejsca przyćmiewa Belize.

Rafa koralowa Belize jest drugą najdłuższą na świecie i najdłuższą na półkuli zachodniej. Ciągnie się około 250 km wzdłuż wybrzeża. To dom dla 65 gatunków koralowców, ponad 500 gatunków ryb, setek morskich gatunków roślin i równie wielu gatunków mięczaków. W krystalicznie czystej wodzie żyją tu delfiny, żółwie, płaszczki i manaty. To tutaj znajduje się niesamowita Blue Hole, o której marzy każdy nurek. To tutaj wracam regularnie. >>



## WIELKI BŁĘKIT

Blue Hole to podmorska studnia, gigantyczna rozpadlina o głębokości 124 m i szerokości 300 m. Jej uroku jednak nie da się odmalować liczbami. Głęboko granatowa toń przyciąga jak magnes, a okoliczna rafa niemal zamyka rozpadlinę w idealnym kręgu.

Blue Hole rozślawił na cały świat Jacques Cousteau, francuski oceanograf. W 1971 roku otworzył przejście w rafie za pomocą niewielkiej ilości materiału wybuchowego i wprowadził tam swój statek Calypso. Badał studnię przez kilka miesięcy, po czym ogłosił ją jednym z pięciu najlepszych miejsc do nurkowania na świecie. Można tu spotkać ryby rafowe, barakudy, żarłacza karaibskiego i inne gatunki rekinów. Do dziś Blue Hole uznawana jest za jedno z najbardziej niesamowitych miejsc na planecie.

Blue Hole znajduje się w odległości około 80 km od Belize City na atolu Lightouse Reef.



Wyspa Caye Caulker ma niepowtarzalny, luzacki klimat.

## LA ISLA BONITA I CAYE CAULKER

Na nurkowanie/snorkeling na rafie najwygodniej wybrać się z jednej z wysp Belize. Do najbardziej znanych należy Ambergris, którą rozślawiła Madonna w swojej piosence *La Isla Bonita* (hiszp. „ładna wyspa”). Wyspa pamięta czasy starożytnych Majów, europejskich kolonizatorów i piratów. Turystów przyciąga na nią jednak rafa i możliwości oglądania podwodnego życia. Już po 10 minutach podróży motorówką znajdziecie się przy rafie. Blue Hole się jest oddalone o około 70 km stąd.

Ambergris to mekka dla turystów, którzy oprócz słońca, pięknych plaż i turkusowego Morza Karaibskiego znajdują tu bogatą infrastrukturę (ośrodki nurkowe, windsurfing, kajakarstwo, żeglarstwo) i sporo betonowych hoteli. Od czasu przeboju Madonny liczba ludności podwoiła się, a wybrzeże obfituje w hotele i resorty na każdą kieszeń.

Mniej oblegana, ale ze zdecydowanie skromniejszą infrastrukturą, jest koralowa wyspa Caye Caulker, i to ją wybieram na swoją bazę wypadową. Wyspę przecina jedna ulica, nie ma ruchu samochodowego, a hoteliki są małe, zwyczajne, choć klimatyczne. Gdy spaceruję wzdłuż linii morza, z knajpek dobiega muzyka reggae, widać ludzi tańczących w jej rytm. Wchodzę do jednej z nich i czuję się tak rozluźniona, że nawet nie zwracam uwagi na długi czas przygotowywania kolacji z homarów.

Plaża jest mała, wąska, ale nie po to tu przyjeżdżam, by wylegiwać się na słońcu. Przyjeżdżam obserwować podwodny świat. Do Rezerwatu Rafy Koralowej płynie się stąd około 20 minut.

## PODWODNY ŚWIAT

W pobliżu rezerwatu morskiego Hol Chan znajduje się Shark Ray Alley – miejsce, gdzie gromadzą się płaszczki (manty) i mniejsze rekiny. Można wskoczyć do wody i kąpać się z nimi, nie zrobią człowiekowi krzywdy (nie mają

zębów). Niektóre osiągają nawet 4 m długości. Przepływają tak blisko, że prawie ocierają się o nas, a ich pionowa płetwa wywołuje ciarki na naszym ciele. Płaszczki nie pływają wcale, pływają powoli, majestatycznie, a ruchy ich płetw sprawiają wrażenie, jakby latały w wodzie.

Żeby zobaczyć gigantyczne żółwie morskie, mureny, drapieżne barakudy i kolorowe małe rybki Nemo (właściwa nazwa tego gatunku to: amfiprion plamisty), trzeba popłynąć do South Channel i Coral Gardens.

W wodach Belize można też spotkać manaty karaibskie, gatunek zagrożony wyginięciem, którego największym wrogiem jest człowiek. Te roślinożerne ssaki giną zaplątane w sieci, po zjedzeniu śmieci i od kłusowników. W Belize jest ich tylko kilkaset, a to największa populacja manatów. Mimo kilku wizyt w tym miejscu, nigdy nie udało mi się ich wypatrzeć.

Region ten zmaga się z wieloma problemami. Poważnym zagrożeniem dla całej rafy jest zjawisko bielenia, związane ze wzrostem temperatury wód oceanu. Snurkując, widywałam instruktorów chwytających płaszczki, aby turyści mogli je pogłaskać. W kilku miejscach rekiny i ryby wabi się jedzeniem – zobaczenie rekina na wycieczce gwarantowane, ale jakim kosztem?!

Wybieram znaną mi już z wcześniejszych wizyt agencję eco friendly. Wiem, że zwracają uwagę na dobro zwierząt i rafy. Na wycieczkę płyniemy jachtem. Nie pogłaszczę płaszczki, rekiny zobaczę z daleka, podróż zajmie mi nieco więcej czasu niż łodzią motorową. Robię to z szacunku dla przyrody.

**Gdy dopływamy do South Channel, wskakuję do wody, zanurzam w niej twarz i otwieram oczy. Widzę cudowny, inny świat.**

# PODRÓŻNICZE TRENDY INACZEJ

*Pytanie „dokąd najlepiej w tym roku?” pada co roku. Co roku mam na nie tę samą odpowiedź.*

*Biorę do ręki kolorowe pismo podróżnicze. Na okładce wielkimi literami wypisano HITY ROKU.*

*Przeglądam z ciekawością.*

*Oglądam piękne zdjęcia z Meksyku i Laosu, czytam o Płowdiwie –*

*europejskiej stolicy kultury.*

*W myślach zaczynam planować swój wyjazd, choć zupełnie gdzie*

*indziej. Do Wietnamu. Nie ma*

*go na liście. Mimo wszystko*

*zaczyna mnie ogarniać znajome*

*uczucie ekscytacji i podniecenia nadchodzącymi podróżami.*

Zuzanna Komuda

Dzień później w Internecie rzuca mi się w oczy kolejna lista, tym razem 10 państw, które „trzeba” zobaczyć w nowym roku. Z listy wcześniej przejranych hitów powtarza się tylko jedno. Wietnamu znowu nie ma. Moich planów to nie zmienia, ale zaczynam się zastanawiać: co decyduje, że to czy inne miejsce lub państwo trafia na listę w danym roku?

Nadchodzi początek roku. List podróżniczych hitów i trendów na nowy rok przejrzałam już kilkanaście. Uczestnicy wypraw Kiribati Club czasem pytają, dzwonią znajomi i rodzina z prośbą o poradę: dokąd najlepiej w nowym roku? Zawsze czekam na nie z niecierpliwością. I wbrew zmieniającym się trendom odpowiedź mam co roku tę samą: nieważne GDZIE, ważne JAK.

Z biurem, na własną rękę, z plecakiem, z walizką, pieszo czy autem – forma wyjazdu nie ma znaczenia. Każdy z nas zna swoje potrzeby i preferencje, i wybiera formę podróży, która najbardziej mu odpowiada. Nie o to tu chodzi.

A więc JAK najlepiej w nowym roku? Z uważnością, zrozumieniem i świadomie.

## UWAŻNOŚĆ

Siedzę na niskim plastikowym krzeselku na jednej z wąskich, zabieganych uliczek Old Quarter w Hanoi. Biorę łyk gęstej jak smoła kawy zaprawionej słodkim skondensowanym mleczkiem. Dookoła miasto tętni życiem, mimo wczesnej godziny. Sprzedawczyni bagietek pcha swój rower, pokrzykując z werwą. Jej nawoływania mieszają się z jazgotem silników motorów, klaksonami i głośnymi rozmowami osób przy sąsiednich stolikach. Chłonę tę esencję Hanoi wszystkimi zmysłami. Słodkie tu i teraz. Bez porównywania z tym, co wyczytałam w przewodniku, bez konfrontowania obrazu przede mną z tym, co obejrzałam na pewnym vlogu i co mi opowiedzieli znajomi. Zapominam na chwilę o tym, co zostawiłam w domu, i co czeka w dalszej podróży. Skupiam uwagę na tym, aby być obecnym w tym miejscu w stu procentach.

## ZROZUMIENIE

Jeszcze w drodze z lotniska do Hanoi upprzedzam moją grupę:

– Tutaj czas postrzegają inaczej. Nie jest linearny, jak u nas, gdzie wszystko ma swój początek i koniec. Tutaj czas jest kołem, a koło jest nieskończone, nie ma początku ani końca. A skoro jest nieskończone, nie da się go zużyć zbyt wiele. Przygotujcie się więc na to, że pewne rzeczy po prostu zajmą więcej czasu, niżbyśmy przewidywali. Pierwszego dnia pracy w sajgońskim biurze koleżanka przytoczyła mi wietnamskie powiedzonko: *waiting is happiness* (ang. „czekanie to szczęście”). Teraz wiecie.

Widzę po minach, że grupa przyjęła do wiadomości, ale nie dowierza. To się szybko zmienia. W recepcji hotelu podaję listę paszportową, by przyspieszyć zakwaterowanie. Recepcjonistka kręci głową. Muszą być oryginały. Zbieram paszporty, podaję. Każdy jest skanowany i pieczołowicie wprowadzany do systemu rezerwacji. Mimo iż grupa jest mała, zajmuje to 10 minut. Następnie z rozważą obsługą wybiera pokoje, wyciąga klucze i rozstawia >>



Kobiety z mniejszości Czerwonych Dzao często zarabiają haftując.

w równym rzędku na ladzie. Zabiera jeden klucz i zamienia na inny, po czym po kolei opowiada mi o każdym pokoju. Mija kolejne 10 minut. Wracam do grupy z kluczami. Siedzą na ciężkich, rzeźbionych fotelach w lobby i obserwują mnie z rozbawieniem.

– No co, Zuza, *waiting is happiness!*

### ŚWIADOME PODRÓŻOWANIE

Wczesnym rankiem dojeżdżam z grupą do Sapy. Ten górski kurort przypomina obecnie plac budowy. Dla nas to tylko punkt wypadowy – ruszamy od razu na górski szlak. Nasza przewodniczka z mniejszości Czarnych Hmongów zabiera nas do swojego domu. Po drodze kilka razy uprzedza, że jej dom nie jest tak ładny jak hotele w Hanoi czy Sapie. Pokonujemy blisko 16 km po malowniczych terenach doliny Muong Hoa, zanim docieramy do jej domu na zboczu. Jest skromnie, bardzo czysto, z widokiem na tarasy ryżowe, o którym „gwiazdkowe” hotele z Hanoi nie mogą nawet marzyć. W zewnętrznej łazience zainstalowała nawet ciepłą wodę. Razem rolujemy sajgonki,

ale większość kolacji przygotowuje jej mąż. Siadamy do wspólnego posiłku, pałaszujemy i śmiejemy się z żartów gospodyni. Po posiłku robi się nieco bardziej poważnie. Przewodniczka opowiada nam o życiu w górach, o relacjach mniejszości etnicznych z Wietnamczykami, o tym, jaką przyszłość dla swoich dzieci wymarzyła. Na koniec dziękuje mi, że wybraliśmy jej *homestay*.

– Wiesz, te hotele w Sapie w większości należą do Wietnamczyków, a pieniądze uciekają do Hanoi. Nas nie stać na budowanie hoteli.

– Wiem. Dlatego jesteście u ciebie.

Przewodniczka rozpogadza się na chwilę i wznosi kolejny toast bimbrem ryżowym:

– *Trăm phần trăm!* (wiet. sto procent!)

Marzę, aby kiedyś w znanej kolorowej gazecie przeczytać właśnie taką listę trendów na nadchodzący rok. Tymczasem pięknych podróży!



Świątynia Ta Prohm, Kambodża.

# AZJA





# NAJBARDZIEJ ZNANE BUDOWLE AZJI **VS** TE, KTÓRE NAS ZACHWYCIŁY

*„Dalekie podróże mają to do siebie, że przywozi się z nich coś zupełnie innego niż to, po co się pojechało”.*  
*Nicolas Bouvier*



Znacie to uczucie, gdy po obejrzeniu zdjęcia jakiegoś budynku, przeczytaniu na blogu lub usłyszeniu od znajomych o pewnym miasteczku czy zamku nagle ogarnia Was ogromna chęć, żeby tam pojechać i zobaczyć je na własne oczy? Ba, planujecie całą podróż tylko po to!

Nam się to wciąż przydarza, zwłaszcza w Azji. Przez lata przyciągały nas azjatyckie świątynie, pałace i zamki, oryginalna, jakże różna od naszej architektura. Te świątynie czy zamki były inspiracją do podróży, jednak w drodze trafialiśmy na miejsca, które wywarły na nas znacznie większe wrażenie. Nie zawsze są to miejsca zupełnie poza szlakiem, ale często pomijane – z braku czasu lub z powodu trudniejszego dojazdu. Miejsca te okazały się tak intrygujące, że umieściliśmy je w programach naszych wyjazdów.

Zobaczcie więc, które piękne budowle skłoniły nas do podróży do Azji, a które naprawdę skradły nasze serca! >>



Tadž Mahal.

Tadž Mahal należy do najbardziej rozpoznawalnych budynków świata. Swoisty pomnik miłości! Przyciąga doskonałą formą i jest często numerem jeden na liście miejsc do odwiedzenia w Indiach. Tak było i w moim przypadku. Majestat i skala tego mauzoleum przerosła moje oczekiwania. Spoglądając na biały marmur, zastanawiałam się nad wielką miłością i wielką rozpaczą, które towarzyszyły jego budowie.

Gdybym miała jednak wybrać miejsce, które mnie najbardziej zauroczyło, to byłaby to Orchha. To spokojne miasteczko zdawało się tchnąć atmosferą dawnych Indii i było miłym wytchnieniem po zgiełku Agry. Zwiedzając imponujący fort-pałac i chatry malowniczo położone nad brzegiem rzeki, wyobrażałam sobie, jak toczyło się tu życie w XVI wieku. To tutaj chciałabym jeszcze kiedyś powrócić. >>

INDIE

## TADŻ MAHAL

VS

## PAŁACE I CHATRY Z ORCHHA

Joanna Antkowska



Orchha.





# WIELKI MUR

## VS

# GROTY LONGMEN

Wojtek Chomicz



Wielki Mur.



Grotty Longmen.

W Chinach stawiałem pierwsze kroki jako pilot, mam więc ogromny sentyment do tego kierunku. Przy okazji pierwszej podróży jednym z głównych celów był Wielki Mur. Zobaczyłem go oczywiście w tych najbardziej turystycznych punktach, ale prawdziwe poznanie dało mi przejście kilkunastu kilometrów w jego odległych zakątkach. Rozbiłem tam namiot i spędziłem jedną z niezapomnianych nocy w moim życiu.

Dopiero w trakcie kolejnej wizyty dojechałem do Grot Dziesięciu Tysięcy Buddów, słynnego kompleksu świątyń, które zostały wykute w wapiennych skałach nad rzeką Yi He w pobliżu miejscowości Longmen we wschodnich Chinach. Ponad 2000 grot mieści około 100 000 (tak, aż tyle!) płaskorzeźb Buddy i jego uczniów. Najbardziej utkwiła mi w pamięci grotta Wan-fo-tung, w której znajduje się 15 000 rzeźb. Każda jest niepowtarzalna, a najmniejsza ma zaledwie 2 cm.

Grotty nie są niszową atrakcją, jednak wielu podróżników tu nie dociera. A warto! >>





Różowy Meczet.

Iran to chyba najbardziej romantyczne miejsce na Ziemi, jakie udało mi się odwiedzić. Żyje tu naród przepelnięty przeszłością, melancholią i uмиłowaniem piękna. Gdzie indziej można się spotkać z takim ukochaniem poezji jak w Iranie? Wiersze czyta się na co dzień, czyta się między zupą a drugim daniem, recytuje się je między kolejnymi szklaneczkami herbaty. Wychwala się nie tylko rodzime dzieła, ale i nasze, polskie... Miłosza, Szymborską...

Gdzieś pomiędzy odwiedzaniem kolejnych bajkowych meczetów Shirazu, między wizytą w słynnym różowym meczecie Nasir Al-Mulk a meczetem Vakil, wybierzcie się do mauzoleum Hafeza i zwolnijcie na chwilę. Tłumy młodych i starych Irańczyków przesiadują w parkach otaczających skromny grobowiec. Czyta się tu wiersze wielkiego poety i mistyka, a następnie swoje własne podczas codziennych konkursów recytatorskich. Usiądźcie i po prostu pobądźcie w otoczeniu najcudowniejszych ludzi tego świata. >>

IRAN

# RÓŻOWY MECZET VS GRÓB HAFEZA

Mateusz Stachniuk



Grób Hafeza.



# HOI AN VS GROBOWCE Z HUE

Zuzanna Komuda



Hoi An.



Grób cesarza Minh Manga.



Hoi An może nie jest tak słynne jak Tadž Mahal czy Wielki Mur Chiński, za to z pewnością jest znane tym podróżnikom, którzy byli w Wietnamie lub wybierają się do tego kraju. I choć nie pamiętam, kiedy pierwszy raz usłyszałam o Wielkim Murze (może na lekcji geografii w podstawówce?), to pierwszą wzmiankę o Hoi An pamiętam doskonale. Koleżanka, która właśnie stamtąd wróciła, opowiadała mi o tym niesamowitym miasteczku ze starą, klimatyczną zabudową oświetloną lampionami. Zdjęcia tylko potwierdzały jej słowa. Chciałam to zobaczyć.

Układając plan pierwszego wyjazdu do Wietnamu, działałam trochę po omacku, więc plan nie był sztywny i zakładał w większości szlaki podróźnicze. W Hoi An spędziłam kilka niezwykle przyjemnych dni, spacerując po zabytkowych uliczkach, podziwiając architekturę i zjadając się miejscowymi potrawami.

O Hue wiedziałam dużo mniej. Ofensywa Tet, bombardowanie, ruiny Zakazanego Miasta – tyle. Przed ruszeniem w dalszą drogę chciałam jeszcze rzucić okiem na cesarskie groby. Wskoczyłam na motor i pojechałam za miasto, spodziewając się... nagrobków. Może nieco bardziej okazałych, bo w końcu cesarskich. Z pewnością nie oczekiwałam pałaców z rozległymi ogrodami. Dzisiaj tamta moja reakcja wydaje się naiwna, wiem, ale frajda z odkrywania tych miejsc była ogromna. Pierwsze zetknięcie z grobowcem cesarza Khai Dinh czy spacer przez ogrody otaczające grobowiec cesarza Minh Manga to teraz dla mnie obowiązkowy punkt wyprawy do Wietnamu.

>>



Świątynia Kiyomizu-dera w Kioto.

Podczas podróżowania po Japonii nikogo nie trzeba chyba długo namawiać do odwiedzenia Kioto – kulturowego centrum tego kraju, dawnej stolicy oraz długotrwałej siedziby dworu cesarskiego.

Gdy pierwszy raz pojechałam do Japonii, pełne zabytków wpisanych na listę światowego dziedzictwa UNESCO Kioto stało się oczywistym wyborem na mojej trasie i nie zawiodło mnie. Mogłabym godzinami spacerować po pałacach i świątyniach, czując pod stopami fakturę mat tatami lub wyślizgane tysiącnymi krokami gładkie deski słowiczej podłogi, zastanawiając się, kto kilkaset lat temu stawiał stopy dokładnie w tych samych miejscach lub przystanął na chwilę na zadaszanej werandzie, by podziwiać ogród – dokładnie ten sam kadr, wykrojony z zieleności i brązu.

W Japonii ten duch przeszłości przenika nowoczesną tkankę miast, wkrada się w zakamarki betonowej dżungli – co roku tłumy turystów kierują się do Kioto, by na własnej skórze odczuć nieuchwytny czar starych świątyń, japońskich ogrodów, gejsz i wysublimowanej tradycyjnej sztuki.

Do najbardziej obleganych miejsc na mapie Kioto należy Gion – najsłynniejsze w mieście hanamachi (dosłownie: „miasto kwiatów”, dzielnica, w której mieszkały i pracowały gejsze), gdzie odwiedzający wciąż mogą wstąpić do tradycyjnych herbaciarni albo wypatrywać gejsz (nazywanych tutaj *geiko*), lub ubranych w bogate stroje maiko (młodych adeptek szkolących się, by zostać pełnoprawnymi artystkami).

Wszystkim spragnionym takich wrażeń i bliskich spotkań kulturą Japonii w tradycyjnym wydaniu polecam spojrzeć także poza Kioto i odwiedzić nieco bardziej kameralną Kanazawę. Położona w centralnej części wyspy Honsiu, nad Morzem Japońskim stolica prefektury Ishikawa to prawdziwa perełka, często pomijana przez

JAPONIA

# KIOTO

VS

# KANAZAWA

Małgorzata Woźniak



Uliczki Kanazawy.

turystów. Oprócz licznych świątyń znajdziecie tu trzy dobrze zachowane hanamachi (niektóre tradycyjne domy gejsz są udostępnione do zwiedzania!), dawną dzielnicę samurajską, ruiny zamku oraz jeden z najsłynniejszych i najbardziej imponujących ogrodów japońskich w kraju – Kenroku-en.

Na deser możecie skusić się na lody przyprószone sproszkowanym złotem. Kanazawa słynie z produkcji płatków złota; na każdym kroku można tu nabyć dekorowane tym kruszcem wyroby rzemieślnicze lub skosztować wykwintnych potraw z jego dodatkiem. >>

# BAGAN

VS

# KAKKU

Joanna Antkowska



*Bagan o wschodzie słońca.*



*Kakku.*

Mistyczny kompleks świątyń w Bagan w Birnie sprawi, że na chwilę stracie oddech i krzykniecie z zachwytu. To miejsce jak z bajki, a liczba pagód i świątyń może zawrócić w głowie. Niesamowity widok! Zachód słońca przeżyty w Bagan zapamiętacie do końca życia. Jednak miejscem, które wywarło na mnie największe wrażenie podczas wyjazdu do Mjanma, było... Kakku. To kompleks 2478 stup postawionych ciasno obok siebie. Wchodząc na ścieżkę pomiędzy nimi, zagłębicie się w las strzelistych wieżyczek zwieńczonych iglicami. Stupy zajmują powierzchnię kilometra kwadratowego i w pewnym momencie otoczą Was z każdej strony. Dajcie się im pochłoniąć. >>





*Brama do Angkor Wat.*

Świątynie Angkoru podbiły mnie w ułamku sekundy. Ledwo zauważałam zgiełk, ludzi i żar lejący się z nieba – chodziłam w zachwycie między murami starych świątyń, chłonąc ich klimat, podziwiając kunszt budowniczych i ciesząc się jak dziecko w święta. Zaczęłam od Angkor Wat, największej świątyni z całego kompleksu, potem tuktukiem pojechałam do Bayonu z niesamowitymi rzeźbami twarzy, do Ta Prohm, którą częściowo pochłania dżungla, i do Preah Khan, mniejszej, ale bardzo klimatycznej świątyni strzeżonej przez 72 garudy. Jedno z moich wielkich marzeń przerodziło się w piękne wspomnienie.

Wspomnienie to wracało do mnie i wracało. Nie minął więc rok i znowu byłam w Angkorze. Mieszkając w Sajgonie, miałam tylko dzień drogi do Siem Reap.

Odwiedziłam te same świątynie, ponownie chowając się przed żarem w ich chłodnych murach. Potem zaczęłam się rozglądać za nowymi miejscami. Sympatyczni gospodarze mojego hoteliku poradzili mi pojechać do świątyń znajdujących się na terenie dżungli, jakieś 115 km od Siem Reap. Wynajęłam kierowcę i motorek na cały dzień i ruszyliśmy w drogę przez kambodżańską prowincję. Jeszcze zanim dojechalśmy do celu, wiedziałam, że to była świetna decyzja. Z tyłu pojazdu podziwiałam wiejski krajobraz, palmy, domy na palach i codzienną pracę w polu. Gdy dotarliśmy na miejsce, moim oczom ukazała się... piramida schodkowa, która bardziej pasowałaby mi w Meksyku niż w azjatyckiej dżungli. Z jej szczytu rozciągał się widok na szczyty drzew, pomiędzy którymi chowały się inne, mniejsze świątynie, często w stanie ruiny. Jechaliśmy od jednej budowli do drugiej, kierowca ciągle śmiejący się z moich reakcji, i ja, w zachwycie.

 KAMBODŻA

## ANGKOR WAT

VS

## KOH KER I ŚWIĄTYNIE W DŻUNGLI

Zuzanna Komuda



*góra: Świątynia Koh Ker, dół: Świątynia Neang Khmau.*





Joanna Antkowska

# Kąpiel po japońsku



*Pierwszy nocleg w Tokio. Było to małe japońskie mieszkanko –  
w naszym rozumieniu małe, dla mieszkańców  
Kraju Kwitnącej Wiśni duże.*

Japończycy muszą pomieścić się w małych przestrzeniach. Czasem zmęczeni po pracy i wieczornych biznesowych kolacjach wpadają na nocleg do hotelu kapsułowego i zamykają się jak w szafie, a raczej komorze hibernacyjnej, na noc.

W naszym apartamencie moją uwagę przykuła łazienka. Znajdowały się w niej prysznic i lustro na wysokości brzucha, a zaraz za nim mała wanna z małym telewizorkiem i masażami.

Wanna była zrozumiałym elementem wyposażenia łazienki, i te dogodności w postaci telewizorka i masażu też. Oczywiście wyobraźni widziałam Japończyka relaksującego się po pracy, oglądającego zapaśników sumo, próbujących za wszelką cenę nie dotknąć maty żadną inną częścią ciała poza stopami.

Również prysznic był absolutnie na miejscu, gdyż znałam trochę obyczaje rodzin japońskich. Woda w wannie musi być bardzo czysta, nie może się w niej znaleźć ani odrobina mydła. Do wanny wchodzi bowiem wszyscy członkowie rodziny. Dlatego myjemy się pod prysznicem, a relaksujemy w wannie.

Wszystko było dla mnie jasne z wyjątkiem lustra na wysokości mojego brzucha i małego krzeselka, którego wtedy nie traktowałam jako ważnego wyposażenia łazienki.

Możecie sobie wyobrazić moją frustrację, gdy oglądałam swój brzuch i niższe partie ciała podczas brania prysznic...



Rozwiązanie zagadki przyszło wkrótce. W czasie podróży zajechaliśmy na jedną noc do ryokanu, czyli jednej z wielu w Japonii gospód (hotelu) z gorącymi źródłami, których w tym kraju gorących wulkanów nie brakuje.

W naszym ryokanie poznaliśmy prawdziwie japońskie zwyczaje. Przywitani przez gospodarza i obdarowani na dzień dobry (czy raczej na dobry wieczór) papciami udaliśmy się do swojego pokoju. Nie było w nim łóżek. Noc mieliśmy spędzić na matach tatami, które gospodarz rozłożył dopiero wieczorem. Dostaliśmy wygodne stroje do onsenu o nazwie *yukata*, w które czym prędzej się przebraliśmy. To rodzaj bawełnianego kimona, które po rozłożeniu ma kształt litery T. Można w nim zjeść



*W ryokanie śpi się na tatami rozłożonych na podłodze.*



kolację przed kąpielą w łaźni lub po niej. Bezcenne przeżycia były jeszcze przed nami. Przygotowaliśmy się do tej kąpeli, czytając zasady *savoir-vivre'u* onsenu i wiedzieliśmy, że trzeba będzie przechadzać się w nim absolutnie nago z małym ręcznikiem na głowie. Na szczęście łaźnie były oddzielne dla kobiet i mężczyzn.

Trochę skrópowana udałam się na kąpiel sama. To miejsce wyjątkowej ciszy, w której kobiety przez około pół godziny myją ciało w specjalnym boksie. Siedzą na małym krzeselku, a lustro jest na wysokości ich twarzy (wtedy do mnie dotarło jego przeznaczenie). Prysznic służy do polewania się właśnie w pozycji siedzącej. Na toalecie pod lustrem znalazłam masę przeróżnych kosmetyków do mycia, peelingu, nawilżania ciała, gąbek, terek do pięt itp. Dopiero tak wymyta mogłam wejść wraz z innymi, zupełnie nago, do gorącego źródła, w którym chciałam się długo relaksować. Temperatura 43 stopni Celsjusza wyrzuciła mnie jednak już po chwili.

Po kąpeli osuszyłam ciało małym ręcznikiem, nie chłapiąc i nie mówiąc głośno, wróciłam do toaletki i kolejne pół godziny pielęgnowałam twarz, cesałam się i szykowałam na wieczorną kolację, którą również jada się w ryokanie w wygodnej yukacie i papciach.

Podano nam w małych miseczkach i talerzykach przysmaki jak dla krasnoludków z nieodłączną zupą miso, która zawsze ratowała mi życie, gdy przypadkiem trafiłam na talerzu na zbyt egzotyczne smaki.





# POLUBIĆ SIĘ Z WIETNAMEM

*Kobieta pracująca fizycznie to częsty widok w delcie Mekongu.*



Zuzanna



Z pilotką Zuzanną Komudą rozmawiała Martyna Kałużiak

**Wietnam jest Twoim kierunkiem, tak prywatnie, jak i zawodowo, bo wiemy, że zanim zaczęłaś pilotować wyjazdy z Kiribati Club do Wietnamu, miałaś okazję pomieszkać w nim trochę i lepiej poznać zarówno kraj, jak i lokalną kulturę. Opowiedz, od czego zaczęła się fascynacja tym kierunkiem i dlaczego właśnie to miejsce na Ziemi wybrałaś na dłuższy pobyt.**

**Zuzanna Komuda:** Muszę się przyznać, że podpisując kontrakt o pracę w Wietnamie, nie wiedziałam o nim prawie nic. Kierowałam się bardziej karierą zawodową niż miejscem zamieszkania. Decyzja była dosyć spontaniczna, więc nawet nie miałam czasu przygotować się na ewentualny szok kulturowy, byłam zbyt zajęta zamykaniem „życia” w Polsce. Ale nie przejmowałam się tym zbytnio. Lubię nowe doświadczenia i staram się we wszystkim znaleźć coś ciekawego.

**Faktycznie przeżyłaś szok kulturowy?**

**Z.K.:** Sajgon, gdzie mieszkałam, to głównie upał, wilgoć, hałas i chaos. Przerabiałam to, mieszkając w Kolumbii, więc poczułam się wręcz swojsko od początku. Te pierwsze tygodnie to był właśnie pierwszy etap szoku kulturowego, tzw. miesiąc miodowy. Wszystko jest nowe, interesujące, a przez to >>

akceptowalne. Akceptowalne do czasu, kiedy wejdziemy w drugą fazę – fazę negocjacji, i pewne rzeczy zaczynają nam przeszkadzać. Faza negocjacji przychodzi mniej więcej po trzech miesiącach, i lubi powracać. Do mnie wracała tutaj dość często, dlatego mój burzliwy związek z Sajgonem określam jako *love-hate relationship* (miłość-nienawiść). Ze zdecydowaną przewagą miłości oczywiście, inaczej nie byłabym w stanie mieszkać tutaj tyle czasu (dwa i pół roku).

### Lubisz wracać do Wietnamu?

**Z.K.:** Uwielbiam! Ponieważ sama układam programy wyjazdów, każda podróż to powrót do tych rzeczy, które spowodowały, że w Wietnamie się zakochałam. Do tego wracam z ludźmi, którzy będą to przeżywać po raz pierwszy. To świetne uczucie obserwować ich zachwyty, zdumienie, zaciekawienie i całą gamę towarzyszących im wrażeń.

### Również rozczarowania?

**Z.K.:** Jasne, zdarza się. Żeby polubić się z Wietnamem, trzeba go zrozumieć. Najczęstszym zarzutem pod jego adresem jest to, że turystę traktuje się tu jak bankomat. Zresztą to częsta uwaga do krajów azjatyckich. Wietnam otworzył się na turystykę w 1995 roku. Początkowo rząd ustalał stawki za noclegi czy bilety wstępu dla obcokrajowców, i zawsze były to stawki dużo wyższe niż dla miejscowych turystów. To niejako nastroiło branżę.

W 2012 roku, gdy przyjechałam do pracy do Sajgonu, moje współpracownice zarabiały 100 dolarów amerykańskich miesięcznie. Były to osoby z wyższym wykształceniem! Obecnie pensja minimalna to 125 do 180 USD w zależności od regionu. Dodajcie do tego szalejącą inflację i niekontrolowany rozwój branży, i rodzi się dość skomplikowany obraz.

### Co najbardziej urzeka Cię w tym kraju?

**Z.K.:** A mogę wymienić kilka rzeczy?

### Tyle tego jest?

**Z.K.:** Sporo, tak. Jednak gdybym musiała wymienić tylko jedną, to z pewnością byłyby to Wietnamki. Zdecydowana większość kobiet, które poznałam, to niesamowite babki. Ciekawe świata, choć nie zawsze z możliwością doświadczenia go. Bardzo chętne do nauki, choć często nie było je na nią stać. Serdeczne i bezinteresownie pomocne. Ciężko pracujące i bardzo nakierowane na rodzinę. Dziewczęce i zadbane, mimo nieraz skromnego budżetu. Szpilki, spódniczka i strój ochronny na motor to częsty widok. Czasem czułam się przy nich jak fletkach!

Poza tym urzeka mnie wietnamska wieś z zielonymi polami ryżowymi, krajobrazy poprzecinane wapiennymi ostańcami, jaskinie, wodospady, góry... i oczywiście kuchnia.

### Wietnam to nie tylko piękne widoki znane nam z pocztówek i katalogów, jak chociażby Halong

### Bay. Czy masz swoje miejsce w Wietnamie, które znajduje się poza utartym szlakiem? Podzielisz się nim z nami?

**Z.K.:** Już się podzieliłam – wszystkie ulubione miejsca wpisałam do programów wyjazdów. To trekking w okolicach Sapy z noclegiem u lokalnej rodziny i prowincjonalna delta Mekongu, również z noclegiem u mieszkańców. To są skrajnie różne miejsca, i zdecydowanie spokojniejsze od wietnamskich miast. Północ to malownicze tarasy ryżowe i przede wszystkim spotkanie z mniejszościami etnicznymi. Delta Mekongu to rejsy kanałami i wietnamska wieś pośród pól i zalewisk.

### Czy Twoim zdaniem Wietnam to bezpieczny kraj?

**Z.K.:** Poza wypadkiem na motocyklu, totalnie z mojej winy i bez udziału osób trzecich, nie zdarzyło mi się tu nic bardziej złego niż w innym kraju. Zresztą po wypadku spotkałam na swojej drodze mnóstwo dobrych ludzi, którzy mi pomogli, nawet gdy o to nie prosiłam. Tak ze zwyczajnej troski.

Uważam na komary i kieszonkowców, sprawdzam wydaną resztę. Zachowuję te same środki ostrożności co podczas podróży w każde inne miejsce. Z moich „złych” doświadczeń i tak te z Polski biją na głowę jakiegokolwiek podróżnicze.

### Jakich rad udzieliłabyś podróżnikom, którzy wybierają się do Wietnamu po raz pierwszy?

**Z.K.:** Spodziewaj się wszystkiego, nie oczekuj niczego. Zresztą to moja rada do każdej, nawet mikro-, podróży. I weź krem z filtrem.

### Opowiedz nam anegdotę związaną z Wietnamem, która została w Twojej pamięci.

**Z.K.:** W drugim tygodniu pracy w Sajgonie szykowałam się do targów w Chicago. W ramach promocji firmy miałam włożyć *ao dai* – tradycyjny wietnamski strój składający się z bluzki z przedłużonym do ziemi przodem i tyłem i rozcięciami po bokach, oraz długimi, szerokimi spodniami. Pojechałam do krawcowej, która śmiała się w głos, mierząc mnie. Najpierw musiała wejść na stołek, żeby dosięgnąć moich ramion, po czym skończyła jej się miara krawiecka przy mierzeniu długości *ao dai*... Po kilku dniach strój był gotowy. Razem ze współpracownikami pozwaliśmy do zdjęcia przed budynkiem firmy. Jako stary karateka stanęłam w rozkroku z rękoma na biodrach. To zdjęcie zostało zaprezentowane w firmie. Pracowało tam wtedy ponad 200 osób, w większości dziewczyn. Dopiero po paru tygodniach, gdy się zaprzyjaźniłam z kilkoma z nich, moje wietnamskie koleżanki przyznały mi się, że całe biuro podśmiewało się z tego zdjęcia. *Ao dai* to strój niezwykle kobiecy, oficjalny, a Wietnamki są raczej skromne. Moja zadziorna postawa i *ao dai* były dla nich prześmiesznym kontrastem. Gdy spojrzałam na to zdjęcie z ich perspektywy, musiałam stwierdzić, że wyglądałam komicznie. Przy drugiej sesji już pamiętałam o tym.



*Park Narodowy Serengeti, Tanzania.*

# AFRYKA



# WIELKA MIGRACJA

*Wielka wędrówka antylop gnu jest największą migracją ssaków lądowych na świecie!*



Na afrykańskiej równinie Serengeti możemy obserwować jedno z najbardziej spektakularnych zjawisk na Ziemi – co roku 1,5 miliona antylop gnu w towarzystwie 200 000 zebra i 500 000 gazeli Thomsona wyrusza szlakiem sezonowych opadów oraz w poszukiwaniu świeżych pastwisk. Podczas tej wędrówki zwierzęta zataczają koło, pokonując 3000 km.

Wielka wędrówka gnu jest największą migracją ssaków lądowych na świecie. Zwierzęta przemieszczają się w poszukiwaniu pożywienia, którego obfitość zależy od ilości opadów. Chociaż wiemy, w jakich mniej więcej miesiącach i w jakim kierunku migrują, dokładnej trasy ani dat przemarszu nie sposób przewidzieć. Na wzrost traw wpływa bowiem wiele lokalnych czynników, które mogą spowodować, że antylopy zostaną w jednym miejscu dłużej lub krócej.

Wyprawa ta obfituje w trudy i niebezpieczeństwa. Podczas corocznej migracji ginie około 250 000 gnu. Umie-

rają z pragnienia, głodu lub wyczerpania, toną w rwących rzekach, usiłując przepłynąć na drugi brzeg. Padają też ofiarą drapieżników, co pozwala zrozumieć głębszy sens tej wielkiej wędrówki dla całego ekosystemu sawanny. Gnu, a także towarzyszące im zebry i gazele Thomsona, znajdują na tym szlaku obfitość pokarmu w postaci soczystych traw. Jednocześnie same stają się pożywieniem dla lwów, lampartów, gepardów, hien i krokodyli. W końcu pozostawione przez drapieżniki resztki cieszą padlinożerców.

Przemarsz olbrzymich stad antylop oddziałuje również na roślinność stanowiącą podstawę ich diety. Wystrzyżona zębami oraz stratowana kopytami trawa pobudza do intensywniejszego wzrostu. Ponadto samce gnu, gdy stają się agresywne w czasie rui, dla rozładowania energii uderzają rogami w pnie małych drzewek i obdzierają korę. Wiele z drzew w wyniku tego usycha, dzięki czemu powstrzymany zostaje proces zalesiania >>



sawanny. Daje to gwarancję, że w kolejnym roku wzrośnie wystarczająco dużo traw, aby wykarmić odżywiający się nimi zwierzęta.

Ta skomplikowana sieć zależności sprawia, że życie na równinie Serengeti niezmiennie odradza się i trwa – we wszystkich swoich przejawach.

### **BABY BOOM**

Cała historia zaczyna się w lutym, kiedy to na południowym krańcu Parku Narodowego Serengeti oraz w przylegającym do niego rezerwacie Ngorongoro na świat przychodzi 0,5 miliona antylop gnu. Dzieje się to zaledwie w przeciągu trzech tygodni, kiedy na pokrytych krótkimi trawami równinach u stóp gór Gol w rezerwacie Ngorongoro panują optymalne warunki do wypasu. Tak skoordynowane narodziny są wynikiem ściśle określonego czasu rui, który przypada na koniec długiej pory deszczowej, trwającej od marca do maja. Co ciekawe, >>



szczytowy moment rui związany jest z cyklem lunarnym i występuje w czasie pełni Księżyca.

Poród następuje szybko, a potomstwo błyskawicznie staje na własnych nogach, w ciągu krótkiej chwili nabywając umiejętności, których ludzkie niemowlę uczy się przez rok.

***Małe gnu po 4 minutach od narodzin potrafią już chodzić, a po 2 godzinach – biegać. Muszą też szybko nauczyć się rozpoznawać zapach i głos swojej matki, a także smak jej mleka. Przez pierwsze 6 miesięcy życia są od niej bowiem całkowicie zależne i nie zdołają przetrwać samodzielnie.***

Tymczasem, jako że główną obroną gnu przed drapieżnikami jest ucieczka, taka minirodzina często się rozdziela. Mimo że dorosła antylopa gnu potrafi rozwinąć prędkość do 70 km/h i w razie niebezpieczeństwa wytrzyma bieg trwający kilka godzin, a w związku z tym umykając przed lwem czy gepardem może znacznie się oddalić, w 95 procentach przypadków matkom udaje się odnaleźć zagubione dzieci. Pozostałe 5 procent przypadków kończy się tragicznie. Samica nie adoptuje bowiem potomstwa innej, nawet jeśli jej własne cielę poniesie śmierć.

Narodziny antylop gnu zbiegają się w czasie z narodzinami młodych innych gatunków, stanowiących wyższe ogniwo w łańcuchu pokarmowym. Dzięki temu świeżo założone rodziny drapieżników nie muszą się obawiać, że zabraknie im pożywienia. Okres migracji roślinożerców to dla mięsożerców czas obfitości, a małe gnu są łatwym celem polowań. >>



Jeśli nie nastąpi żadna komplikacja, młode antylopy pozostają pod opieką swych matek do roku. W tym czasie pokonują całą trasę wielkiej wędrówki, która odtąd będzie wyznaczać regularne cykle ich życia. Dojrzałość płciową samiczki osiągają w wieku 3 lat, a samce w wieku 4 lat, obie płcie dożywają około 15–20 wiosen. Dorosłe osobniki nie darzą się szczególnymi uczuciami. Jedyna silna więź, której nie sposób zastąpić, to ta matki z dzieckiem.

## TRASA WĘDRÓWKI

Około kwietnia stada gnu, już z urodzonymi dwa miesiące wcześniej młodymi, kolejno ruszają na północ. Mniej więcej w czerwcu można je zaobserwować w dużym zagęszczeniu na południowym brzegu rzeki Grumeti, w tak zwanym Zachodnim Korytarzu, gdzie szykują się do przeprawy. Podczas przechodzenia na północną stronę rzeki wiele antylop pada ofiarą wygłodniałych krokodyli.

W lipcu i sierpniu zwierzęta kontynuują migrację w kierunku północnym. Poruszają się szeroką tyralierą. Niektóre grupy kierują się w stronę rezerwatu Grumeti oraz Ikorongo, inne przechodzą przez sam środek Parku Narodowego Serengeti.

We wrześniu stada gnu natrafiają na najpoważniejszą przeszkodę na swojej drodze – rzekę Mara, oddzielającą północny kraniec leżącego w Tanzanii Parku Narodowego Serengeti od przylegającego doń Narodowego Rezerwatu Masai Mara w Kenii. Podczas tej przeprawy zagrażają im nie tylko krokodyle, ale także wysokie skarpy, utrudniające wydostanie się na drugi brzeg rzeki. W końcu jednak antylopy dopinają swego i odpoczywają około miesiąca na żyznych równinach Mara.

W październiku migracja przez Serengeti rozpoczyna się po raz kolejny, tym razem w kierunku południowym. Jest to związane z nadejściem krótkiej pory deszczowej w listopadzie. Pod koniec tego miesiąca antylopy gnu docierają z powrotem na zroszone świeżymi deszczami i porośnięte młodą trawą południowe krańce Parku Narodowego Serengeti oraz do rezerwatu Ngorongoro. Będzie to najdłuższy przystanek na trasie, gdyż zwierzęta pozostaną tu do końca marca, a w kwietniu ponownie wyruszą na północ.

***Tak oto dobiega końca roczny cykl. Podczas zimowego postoju antylopie matki po raz kolejny wydadzą na świat dzieci i znana już historia rozpocznie się na nowo.***





*Hamerzy oczekują na ceremonię skakania przez byki.*

Joanna Antkowska

# Ukuli Bula – egzamin dojrzałości



*Chłopak o ciemnooliwkowej skórze i oczach jak migdały  
stoi na twardej, spękanej słońcem afrykańskiej ziemi.*



Nie jest nagi, ale skrawek białego materiału, którym przepasał biodra, mimo wszystko odsłania jego przyrodzenie. Pokazuje swoją męskość – czyżby tym sposobem chciał pochwalić się, że jest już dojrzały?

Podchodzę do Ukuli, bo tak nazywa się mój bohater z plemienia Hamerów w południowej Etiopii, podaję mu rękę, trochę skrępowana, a zarazem wzruszona gościnnym powitaniem. Ukuli mówi coś w swoim języku i gestem pyta mnie o wodę, którą trzymam w ręce. Wręczam mu swoją butelkę i myślę, jak można żyć w takim skwarze bez wody i możliwości ucieczki do klimatyzowanego pomieszczenia... Trochę przeraża mnie fakt, że tego właśnie dzisiaj doświadczę. Uroczystość Ukuli Bula ma potrwać do wieczora. Czeka mnie kilka godzin ucztowania i świętowania wraz z Hamerami aż do zachodu słońca, a jest dopiero druga po południu.

Wkrótce będę siedzieć na skórze z kozy, obserwując rodzinne tańce i śpiewy i wyczekując, jak wszyscy, kulminacyjnego momentu, kiedy Ukuli, całkiem nagi, będzie udowodniał swoją męskość. Będzie potwierdzał zrzeczność, odwagę, siłę i dzielność mężczyzny, tak potrzebną, by sprostać wyzwaniom trudnego życia. A wszystko po to, by móc się ożenić – z wybranką swego serca lub kobietą wybraną na żonę przez jego rodziców. Stać go na żonę, zgromadził sporą ilość bydła i kóz, bez których ożenek nie byłby możliwy. To wszystko dzieje się teraz, na południu Etiopii, w XXI wieku. Życie Hamerów rządzi się jednak całkiem innymi prawami niż w innych częściach świata.

Piękne Hamerki z rodziny Ukuli pozwalają się chłostać biczem. Z czasem zauważam, że o te chłosty proszą! Na plecach widać krwawiące rany, które później, gdy się

zabliźnią, będą zdobić ich ciała i świadczyć o odwadze i oddaniu swojemu bratu. Dla nas jest to widok dość przerażający, ale kobiety się bawią, podskakując w rytm muzyki i hałasując dzwonekami przypiętymi do kostek. W końcu przyzwyczajam się do tej dziwnej dla mnie formy wyrazu lojalności.

***Jestem tu już długo: nie wiem nawet, która godzina i wcale mnie to nie obchodzi. Takie jest afrykańskie życie – czas nie biegnie tu, tylko mija w tempie ślimaka. Afrykańskie życie – wreszcie je czuję, siedzę w kręgu między mieszkańcami tej ziemi i po prostu trwam wraz z nimi.***

Po kilku godzinach znam już członków rodziny Ukuli i od strony mamy, i ojca. Bawią się, upijając się piwem z sorgo (zboża porastającego okolicę). Z sorgo robi się także strawę na uroczystość. W glinianych garnkach parzy się kawa i herbata. Jest wesoło, młodzi i starzy tańczą i śpiewają. Myślę o polskich uroczystościach, komuniach, weselach... Jest bardzo podobnie, choć ci ludzie żyją w tak skrajnie innych warunkach. Nadchodzi ten moment. Wymalowany Ukuli już jest gotów. Otoczony rodziną i zaproszonymi gośćmi przeskoczy przez byki. Skakać będzie po grzbietach. Jeśli uda mu się cztery razy, będzie to znak, że jest gotów na dorosłe życie i może mieć żonę. To ogromne szczęście dla Hamera. Słychać instrumenty, hałas. Wszyscy czekają w napięciu. Mężczyźni trzymają byki za języki i ogony. Zwierzęta są bardzo niesforne. W końcu emocje sięgają zenitu i zupełnie nagi Ukuli skacze. Raz, dwa, trzy, cztery. Udało się! Ukuli zdał egzamin i wkroczył w dorosłość.



*Hamerki gotują dla wszystkich gości.*



*Byki ustawia się w rzędzie.*



ZOBACZ  
FILM

# JAK ZDOBYĆ KILIMANDŻARO

*Aby postawić stopę na wierzchołku Kilimandżaro, nie trzeba być alpinistą. Ze względu na strefę klimatyczną wejście nie wymaga korzystania z raków i czekanów.*



Organizacja wyprawy bazuje na wykupieniu pakietu w miejscowej agencji trekkingowej. Nie znaczy to jednak, że zdobycie tej góry jest łatwe. Przeciwnie, Kilimandżaro stało się symbolem przewycięzania własnych słabości, gdyż wspinaczka na wysokość 5895 m n.p.m. łączy się z walką z bólem głowy, zmęczeniem, zimnem oraz niewygoda.

Nazwa Kilimandżaro jest wspólna dla trzech głównych wulkanów, wyróżniających się w masywie górskim o długości około 80 km. Największą wysokość ma położony centralnie Kibo. W obrębie jego krateru znajduje się najwyższy punkt całej Afryki – Uhuru Peak (5895 m n.p.m.). Drugi wulkan to Mawenzi (5149 m n.p.m.), z Kibo łączy go rozległy płaskowyż, tak zwane Siodło. Trzeci nosi nazwę Shira (3987 m n.p.m.). Oprócz nich stoki Kilimandżaro pokrywają liczne mniejsze kratery, przeważnie nieczynne. Góra ta samotnie góruje nad Afryką, przez co w wie-

rzeniach tutejszych plemion pozostaje wciąż „Górą Duchów”, wymagającą szacunku i modlitw.

Miastem położonym najbliżej Kilimandżaro jest Moshi (915 m n.p.m.). Tutaj nocujemy po przyjeździe do Tanzanii i stąd wyjeżdżamy. Z tarasów hotelu możemy podziwiać widok na cały masyw.

Do Parku Narodowego Kilimandżaro zawsze należy wchodzić z lokalnym przewodnikiem i zaopatrzeniem, co znaczy, że musimy wykupić w lokalnym biurze cały pakiet. W jego cenie są usługi przewodnika i tragarzy, wstępy i zezwolenia, zakwaterowanie w bazach oraz wyżywienie (trzy posiłki dziennie). Podczas trekkingu cały czas idziemy w towarzystwie przewodnika, a przy większej liczbie osób w grupie towarzyszy mu kilku pomocników. Dodatkowo wspomagają nas kucharz, kelner i tragarze, którzy wnoszą nasze plecaki i zaopatrzenie. Zazwyczaj jest więcej ludzi obsługi niż samych uczestników. >>



*Kilimandżaro widziane z Parku Narodowego Amboseli.*

### **Na szczyt Kilimandżaro prowadzi kilka dróg:**

- 1.** Marangu Route – całość 64 km, podejście 32 km;
- 2.** Machame Route – całość 100 km; podejście na szczyt 62 km; powrót 38 km;
- 3.** Rongai Route – całość 70 km;
- 4.** Umbwe Route – całość 81 km, podejście 43 km;
- 5.** Shira Route – całość 98 km; podejście 60 km;
- 6.** Lemosho Route – całość 98 km; podejście 60 km.

Najpopularniejszą i zarazem najkrótszą drogą jest Marangu Route, potocznie zwana też Coca Cola Route, na której kwateruje się podczas podejścia w drewnianych domkach (schronisku) i nie ma noclegów w namiotach. Każdorazowo po dojściu do bazy noclegowej uczestnicy rejestrują się w recepcji i odbierają klucz do swojego domku, zarezerwowanego przez organizatora. Domki są czteroosobowe, wyposażone w materace do spania

i poduszki. Śpiwór trzeba mieć własny. Nie ma w nich ogrzewania, a chociaż po zmroku włącza się oświetlenie działające na baterie słoneczne, przydaje się własna latarka (np. czołówka). Na terenie baz znajdują się sanitariaty oraz toalety, osobno damska i męska. Woda w kranach jest zimna, dlatego za każdym razem, kiedy uczestnicy dochodzą do bazy, ktoś z obsługi przynosi im w miskach ciepłą wodę do mycia. W każdej bazie jest świetlica – stołówka, w której obsługa rezerwuje dla nas miejsca i nakrywa do stołu. Po dojściu do punktu noclegowego dostajemy kawę, herbatę i przekąskę: popcorn lub ciasteczka, później zaś posiłek składający się z zupy i drugiego dania. Jedzenie jest dobre i urozmaicone. Do picia woda, napój w kartoniku, kawa lub herbata. >>

## **DZIEŃ 1.**

*(7 km, 4–5 godz., podejście z 1830 m n.p.m. na 2740 m n.p.m.)*

Pierwszego dnia przejeżdżamy samochodem około 40 km do Marangu Gate (1830 m n.p.m.), co zajmuje mniej więcej godzinę. Mieści się tam biuro, w którym przewodnicy wykupują zezwolenia i rejestrują grupy. Za niewielką opłatą (średnio 10 dolarów amerykańskich) można też wypożyczyć wszystko, co jest przydatne na trasie: kijki, ochraniacze na kostki (tzw. stuptuty), nieprzemakalne kurtki i spodnie, ciepłą odzież, śpiwory, a nawet buty. Możemy skorzystać z sanitariatów oraz odwiedzić sklepik z pamiątkami.

Po załatwieniu formalności otrzymujemy od przewodnika paczkę z prowiantem (obiad) i wyruszamy na szlak. Czeka nas krótkie podejście do bazy Mandara Huts położonej na wysokości 2740 m n.p.m. Szlak prowadzi wygodną, szeroką ścieżką przez piękny las deszczowy. Podziwiamy bujną roślinność i wypatrujemy małp, które grasują w konarach drzew. Przy odrobinie szczęścia wypatrzymy na gałązce małego kameleona. Podejście nie jest żadną wspinaczką, to łatwy trekking dobrze przygotowanym szlakiem.

## **DZIEŃ 2.**

*(11 km, 6–8 godz., podejście z 2740 m n.p.m. na 3690 m n.p.m.)*

Po śniadaniu wyruszamy w dalszą drogę. Opuszczamy las deszczowy i wychodzimy na odsłonięte zbocza masywu. Szlak jest wygodny, o niewielkim nachyleniu. Podziwiając widoki, trawersujemy zbocze aż do bazy Horombo Huts położonej na wysokości 3690 m n.p.m. W Horombo Huts zatrzymujemy się na aklimatyzację, bo niektórzy już mogą odczuwać związane z wysokością bóle głowy, brak łaknienia czy senność. Wieczorem widać stąd w dole światła Moshi, a rano, gdy niebo jest czyste (a tak zazwyczaj bywa), dwa najważniejsze szczyty masywu Kilimandżaro: Mawenzi oraz stożek krateru Kibo, którego najwyższy punkt to Uhuru Peak, cel trekkingu. Pomiędzy szczytami rozciąga się „Siodło”, leżące na wysokości 4100 m n.p.m., które pokonamy w drodze na szczyt.

## **DZIEŃ 3.**

*(ok. 4–5 godz., aklimatyzacja: podejście z 3690 m n.p.m. na 4100 m n.p.m. i powrót na 3690 m n.p.m.)*

Zostajemy na nocleg w tym samym miejscu. Wychodzimy jedynie na spacer, którego zadaniem ma być aklimatyzacja (wchodzimy wyżej i śpimy niżej). Z Horombo Hut kierujemy się w górę w stronę Mawenzi. Po drodze mijamy Zebra Rocks i jeśli nie odczuwamy większych dolegliwości związanych z wysokością, dochodzimy do początku „Siodła” pomiędzy Mawenzi a Kibo na wysokość około

4100 m n.p.m. Stąd rozpościera się widok z jednej strony na poszarpaną grań Mawenzi, a z drugiej na szlak naszej jutrzejszej wędrowki i wielki krater, na którym znajduje się Uhuru Peak. Wracamy do bazy Horombo na obiad, odpoczywamy do kolacji, podziwiamy zachód słońca. Obóz tętni życiem.

## **DZIEŃ 4.**

*(10 km, 6–8 godz., podejście z 3690 m n.p.m. na 4695 m n.p.m.)*

Wychodzimy zaraz po śniadaniu. Do wyboru mamy dwie drogi: dłuższą, widokową – przez „Siodło”, której część przeszliśmy wczoraj; oraz krótszy trawers bokiem „Siodła”, używany przez większość turystów i wszystkich tragarzy. Szlak prowadzi początkowo przez odkryte łąki porośnięte jedynie endemicznymi starcami, a potem widzimy już tylko goły krajobraz górskiej pustyni. Nie ma żadnych trudności wspinaczkowych, droga jest szeroka, o niewielkim nachyleniu. Dochodzimy do schroniska Kibo Hut (4695 m n.p.m.). Kwaterujemy w salach dwunastoosobowych, wyposażonych w łóżka piętrowe. Posiłki spożywamy w pokoju przy dużym stole. Na zewnątrz znajdują się skromne toalety. Na miejscu są też zespoły, które rozbijają namioty obok schroniska. Tej nocy nie śpimy zbyt długo, a niektórzy z nas odczuwają już problemy wynikające z wysokości i w ogóle nie mogą zasnąć. Wstajemy około 1.00 i ruszamy na szczyt!

## **DZIEŃ 5.**

*(ok. 10–15 godz., 4 km podejście z 4695 m n.p.m. na 5895 m n.p.m. i 14 km zejście na 3690 m n.p.m.)*

To najtrudniejszy etap podejścia. Dzisiaj okaże się, kto da radę, a kto nie. O wszystkim zdecyduje adaptacja do wysokości i stopień nasilenia objawów choroby wysokościowej. Wychodzimy ze schroniska Kibo Hut między godziną 24 a 1 w nocy. Praktycznie od razu zaczyna się strome podejście pod sam stożek Kibo, po minięciu wysokości 5000 m n.p.m. wchodzimy na esowatą ścieżkę zwaną Zig-Zag, wiodącą przez strome, luźne osypisko piargu. Na ostatnich 200 m prowadzi ona pomiędzy większymi skałami. O wschodzie słońca docieramy na krawędź krateru. Wychodzimy na miejscu zwanym Gilmans Point (5681 m n.p.m.), stajemy na krawędzi krateru. Stąd widać już wnętrze góry, piękne lodowce na jego krawędziach i zachodnią ścianę krateru, na której znajduje się Uhuru Peak. Kto nie jest już w stanie iść dalej, po zejściu otrzyma certyfikat zaświadczenia, że zdobył krater, dochodząc do punktu Gilmans. Zdobywcy Uhuru Peak mają jeszcze do pokonania ścieżkę biegnącą wzdłuż krawędzi krateru (ok. 1 godz. +30 min marszu). Po drodze spotykamy turystów podchodzących na szczyt innymi trasami. Powrót zajmuje mniej czasu. Musimy wrócić do Gilmans Point i potem albo wielkimi krokami zejść szybko po osypującym się piargu, albo pomalutku kluczyć ścieżką, >>

którą podchodziliśmy w nocy. Po dojściu do Kibo Hut zatrzymujemy się na krótki odpoczynek i posiłek. Pakujemy się i kontynuujemy zejście do Horombo Hut. Tam zostajemy na nocleg.

## **DZIEŃ 6.**

*(18 km, 5–7 godz.)*

Schodzimy tą samą drogą, którą podchodziliśmy, i zatrzymujemy się na obiad w bazie Mandara Huts. Następnie przez las deszczowy wracamy do Marangu Gate, skąd samochodem pojedziemy już do hotelu w Moshi.

Jeśli ktoś wybierze się na Kilimandżaro niedługo po pobycie w wysokich górach (powyżej 4000 m n.p.m.), nie będzie miał żadnych problemów. Kluczem do pokonania Kili jest szybka aklimatyzacja. W krótkim czasie podchodzimy na znaczną wysokość. I tu kończy się przyjemność, a zaczynają trudności, czyli podjęcie wyzwania: walka z bólem głowy, brakiem łaknienia, a u niektórych z ogólnym osłabieniem organizmu.

***Wchodzimy wyżej tylko po to, by osiągnąć cel – zdobyć szczyt. Ostatecznie satysfakcja gwarantowana. Dobre samopoczucie wróci na dole, a choć samo wejście nie było przyjemne, jego rezultaty napawają dumą.***



*Obozowisko na trasie.*



*Udane wejście zawdzięcza się również tragarzom.*



# WSPARCIE DLA ŚWIATA

*Podróżując po świecie, w jakimś stopniu zmieniamy go. Nasza ekipa stara się, żeby ta zmiana była jak najbardziej pozytywna. Podczas naszych podróży, zarówno z Kiribati Club, jak i prywatnych, spotykamy ludzi bardzo potrzebujących wsparcia – właśnie tej pozytywnej zmiany w swoim życiu. Dlatego stworzyliśmy projekt Wsparcie dla Świata.*

Zuzanna Komuda

Wsparcie dla Świata to tak naprawdę kilka mniejszych projektów pomocowych, organizowanych lub bezpośrednio wspieranych przez nas jako biuro i jako podróżników. Pragniemy, by pomoc była konkretna i trafiona. Staramy się więc podchodzić do tych projektów świadomie – tak, aby nie wyrządzić nikomu krzywdy czy pozbawić go godności.

Świadomość ściera się tu z emocjami, i to potężnymi! Chcielibyśmy już, teraz, wszystko i wszystkim – pomóc, ile się da. Zdajemy sobie jednak sprawę, że długofalowa, stała i trafiona pomoc zadziała lepiej niż spontaniczne zbiórki. Szczególnie bliskie są nam projekty wsparcia wychowanków sierocińca w Mto Wam Mbu oraz uczniów salwadorskiej szkoły w Apopa. To ich otoczyliśmy wyjątkową opieką.

## **SIEROCINIEC W MTO WAM MBU**

Gdy w 2015 roku pierwszy raz trafiliśmy do sierocińca w Mto Wam Mbu, jego wychowankowie zajmowali dwa skromne budynki. Nie wszyscy mogli się tam pomieścić, bo zwyczajnie brakowało łóżek. Dzieci uczyły się razem w jednej sali lekcyjnej, bez względu na wiek. Budynki i otoczenie sprawiało smutne wrażenie, co silnie kontrastowało ze śmiechem i ogólną wesołością wychowanków.

Wtedy przywieźliśmy ze sobą drobne podarunki – piłki, kosmetyki, owoce. Po rozmowie z dyrektorem ośrodka szybko się zorientowaliśmy, że potrzeby są dużo bardziej przyziemne: moskitiery, prześcieradła, ryż, mąka...

Spędziliśmy z dziećmiakami przemiłe popołudnie, ćwicząc z nimi matematykę i angielski, grając w piłkę i poznając się nawzajem. Nawiązała się więź, i wtedy już wiedzieliśmy, że będziemy wracać i pomagać.

Od tamtego czasu minęło kilka lat. Część wychowanków podrosła i opuściła sierociniec, pojawili się nowi. Zamiast wynajmować budynki, które i tak już nie mogły pomieścić wszystkich mieszkańców, dyrektor rozpoczął budowę nowego sierocińca. Ośrodek odwiedziło kilka naszych grup i jeszcze więcej podróżników z indywidualnych wyjazdów. Każdy odwiedzający zostawił nie tylko prezent – worek fasoli, kurczaka czy moskitierę, ale również poświęcił swój czas na poznanie dzieciaków, na zabawę z nimi i rozmowę.

Wsparcie sierocińca od czasu do czasu – od przyjazdu jednej grupy do drugiej – nie satysfakcjonowało nas. Szukając różnych możliwości niesienia pomocy, wpadliśmy na pomysł, aby przychód ze sprzedaży naszej pierwszej książki, zatytułowanej *Historie z podróży*, przeznaczyć właśnie na ten cel. Rok później powtórzyliśmy całą akcję z publikacją *Podróże w Piątą Stronę Świata*. Tym razem do akcji dołączyli nasi piloci, również chcący wesprzeć Mto Wam Mbu. Odbiór książki wśród Klubowiczów i fanów Kiribati był równie entuzjastyczny (o czym najdobitniej świadczy dodruk pierwszego i niemal wyczerpany nakład drugiego tytułu).

Dwie książki i mnóstwo wizyt później, widzimy namacalne dowody naszej wspólnej pomocy – dach na jednym z budynków, okna, drzwi i regularne wiadomości od dyrektora Richarda z pozdrowieniami od Daniela, Joice, Mwajabu i reszty wychowanków.



## MŁODZI GNIEWNI Z SALWADORU

Szkoła Centro Escolar Republica China to niski, odrapany budynek, stojący w nie najlepszej dzielnicy miasteczka Apopa w Salwadorze. Joanna trafiła do niej trochę przez przypadek podczas jednej z prywatnych podróży. Poznała tam niesamowitych ludzi – nauczycieli, prawdziwych Pedagogów, którzy walczą o to, aby utrzymać swoich uczniów z dala od ulicy i gangów. Ich determinacja jest zaraźliwa – spontanicznie Joanna postanowiła wesprzeć ich w tych staraniach w ramach kiribatowskiego projektu Wsparcie dla Świata.

Pomysłem nauczycieli na zatrzymanie uczniów w szkole i umożliwienie im zdobycia dodatkowych umiejętności były warsztaty. Postarali się o dofinansowanie od miasta i zaczęli ich uczyć naprawy sprzętów czy budowy oczek wodnych. Aby utrzymać frekwencję na wysokim poziomie, obiecaliśmy wysłać najbardziej zaangażowanych w warsztaty uczniów na wycieczkę do Parku Narodowego Montecristo.

Wbrew pozorom to duża obietnica – większość uczniów nigdy nie opuściła swojej dzielnicy, a wysłanie ich na camping wymaga odpowiedniego sprzętu. Na realizację zamierzenia postanowiliśmy przekazać część dochodu z wycieczki do tego regionu świata. Potrzebne były namioty, śpiwory, transport, bilety wstępu i żywność.

Pedagodzy, zmotywowani do działania, zajęli się przygotowaniem imprezy na miejscu. Kiedy już wszystko było dopięte, daliśmy zielone światło: przyjeżdżamy, pakujcie się na wycieczkę! Udało się nawet zorganizować koszulki Kiribati Club – nauczyciele i uczniowie zrobili nadruki sami, w ramach warsztatów. Czapki z głów dla takich Pedagogów! W listopadzie 2018 roku nasza pilotka przekazała odpowiednią kwotę, i tuż po zakończeniu semestru uczniowie i ich opiekunowie (po cichu nazywamy ich Aniołami) pojechali do Parku Narodowego Montecristo.

***Właśnie dla takich chwil podróżujemy – dla spotkań z niezwykle inspirującymi ludźmi. I dla takich wzruszających momentów wspieramy świat – w konkretnym miejscu, konkretnych ludzi. Małymi, ale znaczącymi krokami.***

Obecnie realizujemy kolejną edycję projektu – ponownie część pieniędzy z wyjazdu do Ameryki Środkowej przeznaczymy na wycieczkę dla uczniów, którzy ukończą warsztaty.

Więcej o projektach w ramach Wsparcia dla Świata możecie przeczytać na naszej stronie [www](http://www).



Wychowankowie sierocińca w Mto Wam Mbua.



Wychowankowie sierocińca w Mto Wam Mbua.



Nauczyciele i uczniowie ze szkoły w Apopie.



Park Narodowy Yosemite, USA.

# AMERYKA PÓŁNOCNA





# CROSS USA

*Przejechać Amerykę  
od wybrzeża do wybrzeża,  
zjeść ją całą, pochłonąć,  
być wszędzie, wszystko  
zobaczyć, doznać i przeżyć.*



Michał Antkowski



Park Narodowy Yellowstone.



Stary saloon przerobiony na sklep.



Nowy Jork.

## ZMIERZYĆ SIĘ Z USA

Takie zachłanne pragnienie pojawiało się u mnie, kiedy byłem jeszcze dzieckiem. Marzyłem o tym całym sobą. Wówczas był to świat za żelazną kurtyną – trochę nierealny, zamknięty w bajce o miejscu, w którym jest wszystko, czego nie mam.

Przemierzyć kontynent to tylko zmierzyć się ze swoim wyobrażeniem, a nie poznać wszystko. Droga ta wyraża pragnienie pochłaniania przestrzeni dalej i więcej. Pragnę zobaczyć, co jest za tamtymi górami, kto tam mieszka, jak żyje, by potem po powrocie bawić się wspomnieniem. Przywoływać wspomnienia i wyobrażać sobie, co dzieje się w tamtym miejscu w każdym momencie. Bo byłem tam i czuję, że teraz mogę tam być, kiedy tylko zechcę. W każdej podróży zostawiam jakąś część siebie, a inna część przyjeżdża ze mną. Czuję więc z miejscami, w których byłem. Ona oswaja mnie z tym światem.

## CROSS DAWNIEJ

Ludzie od wieków przemierzają ten ląd. Niegdyś po kontynencie amerykańskim przemieszczali się tylko rdzenni mieszkańcy w poszukiwaniu zwierzyny łownej. Pierwsi Europejczycy błękali się po Ameryce bardziej przypadkiem, po części z ciekawości, po części w poszukiwaniu drogi do domu. Wyjątkowym przykładem takiego tułacza był hiszpański konkwistador Álvar Núñez Cabeza de Vaca. W 1528 roku, po zakończeniu nieudanej wyprawy na Florydę, znalazł się na wybrzeżu dzisiejszego stanu >>

Teksas. Tam uzyskał pomoc zamieszkujących te ziemie Indian. Początkowo jako niewolnik, później jako szaman, wędrował po kontynencie, poszukując swoich rodaków. Odnalazł ich dopiero na terenie Meksyku po 8 latach...

Potem w trasę wyruszyli eksploratorzy i badacze, poszukując drogi lądowej na zachód do Oceanu Spokojnego. Jednym z pierwszych, którzy dotarli do zachodniego wybrzeża, wędrując pieszo ze wschodu na zachód, był Alexander Mackenzie. Było to na obszarze dzisiejszej Kanady w 1793 roku. W kolejnych latach dwaj wędrowcy Meriwether Lewis i William Clark wyprawili się w swoją transkontynentalną podróż, która zakończyła się po ponad 2 latach niedaleko dzisiejszego Seattle nad Oceanem Spokojnym.

Po nich na zachód do Kalifornii ruszyli masowo osadnicy o władnięci gorączką złota. Szukali nowych terenów do życia. Później wraz z rozwojem gospodarki kontynent przecięła słynna droga Route 66. Wszystko napędzane było poszukiwaniem „nowego”. Nowego miejsca szukali emigranci, nowego ładu pielgrzymi, nowych zasobów poszukiwacze złota...

## PRZEMIERZYĆ STANY

We współczesnym europejskim życiu ruchem przez kontynenty nie rządzi już pragnienie poprawy swojej egzystencji. Nas pociąga ciekawość, chęć poznania, która stała się domeną turystyki. Przemieszczamy się tylko na chwilę, by zobaczyć, doświadczyć, poznać lub poczuć. Chcemy wiedzieć, jak to jest, jak tam jest. Pochłaniamy wszystko szybko, ciągle szukając nowych wyzwań.

W tej podróżniczej pogoni udało mi się zrealizować dziecięce marzenia: przejechałem Amerykę ze wschodu na zachód i z zachodu na wschód, trasą południową i północną. To, co zapamiętałem, to droga, która ciągle się zmienia, obfituje w doznania, oszałamia i nuży jednocześnie.

Podróż przez Stany to spotkanie z poszarpanym wybrzeżem oceanu, górami, pustynią, lasem, prerią, wielkimi miastami. To ogromna dawka rozmaitych doznań.

Są tu miejsca wyjątkowe, jak Park Yellowstone, obejmujący potężny krater wulkanu. Podgrzewane przez podziemne złoża gorącej lawy wody wytryskują w nim w postaci gejzerów lub wypływają na powierzchnię w postaci gorących źródeł, a ciepło przyciąga mnóstwo dzikich zwierząt, które spacerują po okolicy niczym w otwartym zoo safari.

Są tu miejsca NAJ, jak chociażby największy kanion świata – Grand Canyon (Wielki Kanion), utworzony przez rzekę Kolorado. Najgorętsze miejsce na Ziemi – diabelska pustynia Death Valley (Dolina Śmierci) z największą depresją Ameryki Północnej: 86 m p.p.m., zwaną Badwater. Najwyższe drzewa świata – sekwoje porastające zbocza gór Sierra Nevada. Najwyższy budynek mieszkalny na świecie – 432 Park Avenue w Nowym Jorku. Największa rzeźba świata – pomnik Szalonego Konia w masywie Black Hills, niedaleko skalnych głów czterech prezydentów w Rushmore.

Po drodze zmienia się nie tylko krajobraz i przyroda, zmieniają się również mieszkańcy. Na południu spotkacie dużo emigrantów hiszpańskojęzycznych, przybyłych z Meksyku. Nadają tym miejscom swoistą latynoską kulturowość i kolorystykę. W Arizonie i Dakocie, zepchnięci do wyznaczonych obszarów nazwanych rezerwatami, żyją rdzenni Indianie. Cały stan Utah zarządzany jest przez mormonów, którzy w stolicy stanu Salt Lake City zbudowali potężny kompleks religijny, przyciągający wznawców i turystów z całego świata. Na wschodzie kontynentu, szczególnie w Pensylwanii, w odizolowanych wspólnotach żyją grupy ortodoksyjnych amiszów, którzy do dzisiaj nie akceptują nowoczesnej techniki. Nie korzystają z elektryczności, samochodów, telewizji, fotografii i innych współczesnych wynalazków. Wielkie miasta to prawdziwe tygrysy kulturowe. W Nowym Jorku spotyka się cały świat. Spacerując ulicami Manhattanu, przechodząc z alejek jakby żywcem przeniesionych z włoskich miasteczek, trafiasz wprost na stragany chińskich sprzedawców suszonych ryb.

Nieco ponad 3 tygodnie, blisko 10 000 km, i w tym wszystkim przeplata się spacer po górach, plaża nad oceanem, niedźwiedzie, wieloryby, wspinaczka kanionem, stare miasteczka Dzikiego Zachodu, oszałamiający plastikowy luksus Las Vegas, pustynie z krajobrazem księżycowym, tryskające wysoko gejzery, drapacze chmur Chicago i Nowego Jorku, Biały Dom, Pentagon, huk Niagara i cisza skalnych monumentów, Golden Gate, Statua Wolności, Hollywood... Nie nadążasz za ilością doznań.

***Jesteś w podróży jeszcze długo po powrocie do domu, nim ochłoniesz i zobaczysz nowego siebie, zjednoczonego w tysiącu stanów zachwytu, skołowania, oszołomienia, relaksu, zaciekawienia i wzruszenia. Droga przez Stany nigdy się nie kończy, zostaje z Tobą na zawsze.***





# W PODRÓŻY PRZEZ GÓRY SKALISTE

*Turystyczne atrakcje są „turystyczne”  
z jakiegoś konkretnego powodu.*



Mateusz Stachniuk

Czasem jest on mocno uzasadniony i przekonujący, dlatego przyciąga nas, by je zobaczyć na własne oczy. Czasem nie, wtedy chcemy je ominąć jak najszybciej i poszukać czegoś mniej znanego, mniej zatłoczonego czy bardziej „autentycznego”. Są takie miejsca, które zachwycają momentalnie, i są takie, które uroku nabierają z każdym kolejnym dniem pobytu. Góry Skaliste rozkochują od pierwszego wejrzenia.

Każdy dzień może zaczynać się i kończyć bardzo podobnie, w motelu. Już dla samej tej noclegowej instytucji warto kupić bilet do Ameryki Północnej. Parkujesz samochód przed drzwiami do pokoju, wychodzisz na ganek, siadasz na krzeselku przy motelowym basenie i podziwiasz piękno natury, przebiegającą sarnę lub pobliski sklep spożywczy czy elewację sąsiedniego budynku. Raz na jakiś czas rozpalisz grilla, otworzysz butelkę lokalnego półwytrawnego białego wina. Czujesz się jak na najlepszych wakacjach życia. Rano wstaniesz, zjesz naleśnika

z syropem klonowym, popijesz kawą i znowu ruszysz oglądać cudowną kanadyjską krainę.

Parki Banff, Jasper, Yoho, Kootenay i najpiękniejszy ze wszystkich Waterton Lakes, czy bardziej dziki, znajdujący się w pobliżu Gór Skalistych Wells Grey. Największą zbrodnią w tych miejscach jest nadmierny pośpiech, a warto je odwiedzić przynajmniej z trzech powodów, choć można znaleźć ich więcej. Po pierwsze jazda między kolejnymi atrakcjami to wielka przyjemność ze względu na bajkowe widoki na każdym odcinku trasy, jak i samą kulturę jazdy (trąbienie, jeżdżenie na zderzaku i inne „przyjemne” zwyczaje znane z naszych dróg praktycznie nie występują). Drugi powód – ograniczenie prędkości – jest bardzo przyziemny. Są odcinki, gdzie nie pojedziemy szybciej niż 30–50 km/h, nie ze względu na słaby stan dróg, a dzięki zwierzęta i fakt, że to Ty jesteś raczej gościem w tym miejscu i jesteś istotą drugiej kategorii. Jest to także podyktowane ich i Twoim bezpieczeństwem. Niedźwiedzie, łosie, >>



Park Narodowy Yoho.



Moraine Lake nawet poźną wiosną przykryte jest śniegiem.



Jeleń kanadyjski to częsty widok.



Odpoczynek po trekkingu.

karibu możesz zobaczyć i na autostradzie, i w miasteczku, w którym nocujesz (szczególnie na wiosnę). Trzecim powodem jest nieskończona ilość szlaków turystycznych o różnej długości i stopniu trudności. Jeżeli wstanie się odpowiednio wcześnie, wybrany trek można mieć wyłącznie dla siebie... i mieszkańców gór i lasów.

Góry Skaliste to dzika natura w najpiękniejszej postaci. Tutaj uświadamiasz sobie swoją małość i słabość. Odczuwasz do niej gigantyczny respekt i szacunek, szczególnie po bezpośrednim spotkaniu z jej mieszkańcami. Jeżeli na szlaku spotkasz strażników, którzy powiedzą, żebyś zawrócił, bo widzieli kuguara i rodzinę głodnych niedźwiedzi po zimowym śnie, to nie będziesz się dwa razy zastanawiał, tylko zawrócisz. Wybierzesz inną trasę.

***Ze względu na walory estetyczne Kanada nie ma sobie równych. Kiedyś w moim prywatnym zestawieniu na czele znajdowały się szczyty Kirgistanu i Norwegia, ale Góry Skaliste wyprzedzają je o lata świetlne.***



# HAWAJE – TO, CO LUBIĘ

*To wyspy z historią. Ludzie żyją tutaj już ponad tysiąc lat.*



Michał Antkowski

Stworzyli własną cywilizację, system religijny oparty na legendach i mitach wytłoczonych wprost z gorącej lawy. Toczyli wojny i podbijali znany im świat. Żyli w harmonii i znaleźli rozumienie czasu, miejsca i sensu życia. Znaleźli swoją odpowiedź na pytanie, które trapi nas wszystkich od zawsze: jak żyć pełnią życia? Odpowiedź ta przetrwała przekazywana z pokolenia na pokolenie przez mądrych kapłanów Kahunów. Dzisiaj wiedzę tę nazywamy zasadami huny. Pięknie i wyczerpująco opisał je King Serge Kahili w książce *Szaman miejski*. Zasady te kryją się w siedmiu hawajskich słowach:

**IKE** – świat jest taki, jaki myślisz, że jest.

**KALA** – nie ma żadnych ograniczeń.

**MAKIA** – energia podąża za uwagą.

**MANAWA** – moment mocy jest teraz.

**ALOHA** – kochać znaczy być szczęśliwym.

**MANA** – cała moc pochodzi z twojego wnętrza.

**PONO** – skuteczność jest miarą prawdy.

## ROŚLINNOŚĆ

Szczególnie fascynująca jest na wyspie Maui z potężnym kraterem wulkanu Haleakala, który wznosi się na 3000 m n.p.m. Księżycowa powierzchnia krateru nie zo-

stała jeszcze pokryta zielonym dywanem roślinności, ale proces ten jest już bardzo zaawansowany. Inwazja życia wdziera się gęstym rzędem zielonych bambusowych rusztowań, wspieranych na powyginanych w szaleńszym tańcu figowcach. Podłoże jest wyściełane olbrzymimi liśćmi, które potęgują wrażenie niesamowitości. Rozciągnięte wzdłuż szlaku liany zapraszają do wspinaczki ku życiodajnym wodospadom. Każde miejsce, każda roślina, na którą spojrzę, wyrywa się ku słońcu, krzyczy i przebija się ku górze.

## AKTYWNOŚĆ

*There are no limits* jest głównym hasłem reklamowym zawodów o nazwie Ironman. Na wyspie Hawaii zapoczątkowano tę niezwykle trudną rywalizację, która z czasem przerodziła się w najbardziej prestiżowe na świecie zawody triathlonowe. Wokół ich genezy narodziła się legenda. Opowiada o tym, jak w jednym z barów w Honolulu pewien komandor marynarki wojennej USA, John Collins, pokłócił się z kilkoma kolegami o to, kto jest bardziej wytrzymały: pływak, biegacz czy kolarz. Postanowiono sprawdzić to w praktyce. Połączono najdłuższe dystanse, w których odbywały się poszczególne rywalizacje na Hawajach. Stanowiło to wyzwanie nawet >>



dla najbardziej elitarnych wyczynowców. W ten sposób 18 lutego 1978 roku zapoczątkowano zawody Hawaii Ironman, podczas których startujący muszą przepłynąć 3,86 km w oceanie, przejechać rowerem 180,2 km i przebiec maraton, czyli 42,195 km.

Obecnie co roku, na początku października, w Kona odbywają się mistrzostwa świata Ironman. Wszystko dzieje się w ciągu jednego dnia. Startują tutaj sportowcy z całego świata, którzy w ciągu roku wywalczyli tę wymarzoną kwalifikację na zawodach organizowanych w różnych częściach globu. Najlepsi pokonują trasę w czasie poniżej 8 godzin. Rekord hawajskiego Ironmana aktualnie wynosi 7:51:13. Został osiągnięty przez niemieckiego sportowca Jana Frodeno w 2019 roku.

## WULKANY

To lava wydostająca się z dna oceanu stworzyła to miejsce, każdą z wysp w innym czasie i w innych warunkach. Są wyspy stare i młode. Takie, na których wciąż wypływa gorąca lava, i takie, gdzie lava dawno zastygła i zarosła lasami tropikalnymi, pełnymi wielkich paproci i niespotykanych nigdzie indziej kwiatów.

Na Wielkiej Wyspie, Hawaii, droga prowadzi na kręgi dymiącego wulkanu, który niczym teatr stworzenia na okrągło odgrywa scenę początku naszego świata. Ogień i woda wydają na świat skałę, która staje się oparciem dla życia. Rzeka czerwonej płynnej lawy wpływa wprost do oceanu. Miejsce ich zetknięcia okrywa kłębia-

sta chmura pary wzbijana falami na wiwat temu gorącemu spotkaniu. Lava zastyga niczym poskręcane ciasto, a zielone paprotki wyszukują punktu do zaszczeplenia życia, zanim pojawi się tu jakakolwiek gleba. Napływają też pierwsi osadnicy, którzy w tym złowrogim krajobrazie budują domy i postanawiają żyć z nadzieją, że czerwona rzeka nie zmieni już swojego biegu.

Czasem jednak okazuje się, że proces stworzenia jeszcze się nie zakończył i rzeka lawy zalewa ludzkie podwórka, przestawia konstrukcje budynków, wypala na nich swoje znaki. Tworzy w ten sposób nowe drogi, tunele i mosty skalne, po czym zaprasza odwiedzających do spaceru w swoich nowych ogrodach osobliwości.

## SZCZĘŚCIE

Hawaje to spełnienie dziecięcych marzeń o wakacjach, odległych plażach z turkusową wodą, wpisanych w tropikalny obraz z palmą kokosową. Słychać kojące dźwięki ukulele, niesione poranną bryzą. Kobiety z naturalną lekkością ozdabiają głowy kwiatami. Kwiaty znajdują się zresztą na wszystkich częściach lokalnego stroju, a męskie koszule słyną na całym świecie z ich obfitości.

Najwięcej kwiatów jest na wyspie Kauai, zwanej również królestwem ogrodów. Przecina ją wielki kanion Waimea o kolorowych, połyskujących w słońcu olbrzymich zboczach. Wędrowców przyciąga Kalalau Trail, uznany za jeden z najbardziej widokowych szlaków na świecie, który prowadzi przez bujną roślinność i strome klify dzi- >>





Strelitzja królewska.

kiego wybrzeża Nā Pali. Klify brały udział w takich hollywoodzkich produkcjach jak *King Kong*, *Park Jurajski* czy *Południowy Pacyfik*. Wiele osób pieszo pokonuje fragment tego 11-milowego szlaku. Pozostałą część uzupełnić może ekscytująca wycieczka helikopterem, podczas której spektakularne krajobrazy wybrzeża widać w całej okazałości.

## WAKACJE

Wakacje są tu wszędzie. Zapraszają do górskich wędrówek, obcowania z przyrodą w odległych, cichych zakątkach. Wszechobecny ocean, wieloryby, rafa koralowa, której oglądanie umilają pływające z nami żółwie morskie, wielkie fale i uprawiany na nich surfing w każdej postaci, spokojne zatoki dla morskich kajaków i zawsze ciepły piasek plaży. Na wyspach nie ma drapieżników, pająków, skorpionów ani węży. Poziom adrenaliny podsycają jedynie pływające w przyboju rekiny.

Honolulu – Miasto Ameryka, tuż przy plaży i na luzie. Hotele drapią tu chmury. Wieczór pachnie jak cheesecake, miasto wabi kolorami, życie tętni w rytmie ukulele, a japoński udon wypełnia brzuch. Deski, jachty, łodzie podwodne. Ananasy, krewetki, orzechy makadamia, kawa Kona, taniec hula i pudding z taro – prawdziwe Pearl Harbor...



Centrum Kultury Polinezyjskiej.



Centrum Kultury Polinezyjskiej.





*Park Narodowy Tongariro, Nowa Zelandia.*

# AUSTRALIA I OCEANIA





Hobbiton.

# NA DRUGIM KOŃCU ŚWIATA



Dariusz



Z pilotem Dariuszem Wiejaczką rozmawiała Małgorzata Woźniak  
Zdjęcia: Dariusz Wiejaczka

**Nowa Zelandia nieodmiennie przyciąga miłośników dzikiej przyrody i aktywnego wypoczynku na wolnym powietrzu, amatorów sportów ekstremalnych, pasjonatów fotografii, fanów fantastyki czy po prostu ludzi zmęczonych zawrotnym tempem życia, którzy chcą uciec gdzieś, gdzie czas zdaje się płynąć wolniej.**

**A co Ciebie skłoniło do odwiedzenia tego kraju? Czy to, co zobaczyłeś na miejscu, odpowiadało Twoim wyobrażeniom, czy raczej Cię zaskoczyło?**

**Dariusz Wiejaczka:** Nowa Zelandia nie przyciągała mnie jakoś szczególnie. Wiadomo, kojarzyłem ją z wulkanami, hobbitami, skalistymi plażami, chmurami i całą masą zieleni, ale to wszystko było też znacznie bliżej – w Skandynawii. Może z wyjątkiem hobbitów, choć trolle są świetną rekompensatą. Nową Zelandię zobaczyłem po raz pierwszy podczas prowadzenia wyprawy do Australii i Nowej Zelandii. Australię znałem już dobrze, a Nowa Zelandia była dodatkiem. Kraj okazał się tak przyjazny, że z każdą podróżą zakochałem się w nim coraz bardziej. Znajdowałem wciąż nowe miejsca, o których nie miałem pojęcia, i gdy jestem tutaj dwudziesty raz, nadal potrafi mnie >>

bardzo zaskoczyć. Mam jeszcze na swojej liście kilkadziesiąt miejsc, których nie widziałem i z każdą kolejną grupą odwiedzamy coś nowego również dla mnie.

### **Masz swoją subiektywną listę *must-see*? Jakich miejsc na mapie Nowej Zelandii nie można przegapić? A co, Twoim zdaniem, można sobie odpuścić?**

**D.W.:** Mam, choć boję się je wymienić, ponieważ niektóre z nich nie są zawarte w programie, który napisałem dla Kiribati Club. Ale uprzedzam: nie nadają się z powodów logistycznych. Przykładowo w Nowej Zelandii są spore pływy i niektóre piękne plaże znajdują się pod wodą w momencie, kiedy moglibyśmy je odwiedzić.

Na mojej liście najciekawszych rzeczy (ostrzegam, że jest tego dużo) są:

– Na Wyspie Północnej: półwysep Cape Reinga, wydmy Te Pahi i Ninety Mile Beach, Paihia i Zatoka Tysiąca Wysp, jaskinie ze świecącymi robakami w okolicach Waitomo, plaża Three Sisters and Elephant Rock Beach, trekkingi przez Park Narodowy Tongariro, okolice Rotorua (las sekwoi, Te Puia, pola geotermalne Waiotapu), półwysep Coromandel z plażami Cathedral Beach i Hot Water Beach, drzewa kauri w lasach Waipoua, okolice Mount Taranaki i Back Beach, plaża Piha i kolonia głuptaków w Muriwai, i oczywiście Hobbiton;

– Na Wyspie Południowej: plaża Wharariki, klify w okolicach Dunedin, trekking z widokiem na Aoraki i jezioro Tekapo, lodowce Franz Josef i Fox, Kaikoura z kolonią fok, znana z filmu *Władca Pierścieni* Mount Sunday, góry Moeraki, Clay Cliffs, fiord Milford Sound, wąwóz Hokitika Gorge, jeziora Hakea i Wanaka, Glow Worm Den (miejsce obserwacji świecących robaków przy Hokitika), skały naleśnikowe Punakaiki oraz las Pororari.

Wiele z nich jest bardzo turystycznymi miejscami, ale Machu Picchu czy Kanion Antylopy też nie stały się „turystyczne” bez powodu. Najpiękniejsze miejsca przyciągają mnóstwo osób. I jeśli chce się zobaczyć te cuda przyrody, trzeba się na to zgodzić.

A jeśli chodzi o miejsca, które odradzam... Nie potrafię wskazać niczego zupełnie niewartego zobaczenia.

**Nowa Zelandia fascynuje unikalną florą i fauną. Z powodu geograficznej izolacji przez miliony lat ekosystem wysp rozwijał się bez zewnętrznych wpływów. Mimo że przybycie człowieka, a wraz z nim obcych gatunków ssaków lądowych, naruszyło jego równowagę i doprowadziło do wymarcia niektórych rodzimych gatunków roślin i zwierząt, wciąż można tu spotkać wiele endemitów. Czy jest szansa je zaobserwować? Gdzie?**

**D.W.:** Najciekawszym z nich jest tuhourangi. Zwierzę to, jak większość nowozelandzkich gatunków, jest aktywne nocą, więc trzeba poczekać do zmroku. Najczęściej można je zobaczyć w małych miejscowościach, nawet przy motelach. Bardziej skłonne jest też zbliżyć się zwabione zapachem etanolu. Zatem im więcej pijemy, tym większe mamy szanse na spotkanie go. 😊

A tak serio, to izolacja zrobiła swoje i gatunki są inne niż w Europie. Paprocie drzewiaste, lasy olbrzymich drzew kauri, nietot kiwi, endemiczne gady hatterie, papuga nietot kakapo, drapieżna papuga kea, niegdyś także wielkie ptaki moa. Nie są to jednak ani najpiękniejsze gatunki, ani największe. Są INNE. Jest ich też mniej niż na dużych kontynentach.

Kiwi oczywiście można zobaczyć, mimo iż kitanki lisie, szczury i psy przez lata przetrzebiły ich populację. Najprościej udać się do domku (schroniska) dla kiwi, które zazwyczaj zajmują się również ich rozrodem. W warunkach naturalnych jest znacznie trudniej. Wykupuje się nocną wycieczkę z zamkniętym w sobie, podejrzanie wyglądającym przewodnikiem i wyrusza na kilka godzin w las. Nie możemy robić zdjęć ani odzywać się przez całą wycieczkę. Większość ubrań, do których jesteśmy przyzwyczajeni, będzie zbyt głośna, dostaniemy więc stare „wory”, którymi moglibyśmy zabłysnąć na niejednej nowoczesnej rewii mody i które nie spłoszą ptaka. Porozumiewać się będziemy za pomocą gestów (i telepatii), a o ubikacji możemy zapomnieć na tych kilka godzin. Wszystko po to, by zobaczyć w słabym czerwonym świetle małą, opierzoną kulkę z dziobem. 😊



*Kaikoura sypnie z kolonii fok.*

**Co sądzisz o Nowozelandczykach? Miałeś okazję poznać ich bliżej?**

**D.W.:** Są w porządku, jak wszędzie ludzie. Mili, pomocni i pozytywni. Nie mam złych doświadczeń. Mają niesamowite poczucie humoru. Moją ulubioną rolę zagrał, Taika Waititi, pochodzi z tego kraju. Wyreżyserował jeden z najzabawniejszych dla mnie filmów: *What We Do in the Shadows*.

»



Przedstawienie podczas wieczoru maoryskiego.



Skąły Naleśnikowe.

**W populacji Nowej Zelandii – byłej kolonii brytyjskiej – dominują potomkowie europejskich osadników. Mozaikę etniczną uzupełnia mniejszość rdzennych mieszkańców wysp – Maorysów, oraz przybysze z krajów Azji i Pacyfiku. Obecnie (według danych dostarczonych przez najnowszy spis ludności z 2018 r.) Maorysi stanowią około 16,5 procent populacji Nowej Zelandii. Czy kultura rdzennych mieszkańców jest widoczna dla postronnego obserwatora? Gdzie i w jaki sposób najlepiej można ją poznać?**

**D.W.:** Kultura maoryska jest obecna na każdym kroku. Maorysi nie dali się tak łatwo zawojować jak inne narody. Gdy na wyspach pojawił się pierwszy potencjalny agresor, Abel Tasman w 1642 roku, większość jego załogi wybili i zjedli. Po tym wydarzeniu mieli spokój na ponad sto lat. Później James Cook i kilku innych podróżników odwiedzali te tereny, głównie w celach handlowych. Wybuchwały mniejsze lub większe konflikty, ale w 1839 roku udało się doprowadzić do ugody traktatem z Waitangi i utrzymać spore, choć oczywiście niewystarczające, prawa dla Maorysów. Jednak to jest ich kraj.

Już po przylocie witają nas maoryskie rzeźby i obrazy. Zachowano tutaj mnóstwo lokalnych nazw. W wielu miejscowościach stoją dumnie rzeźby maoryskich bogów. Odbywają się festiwale kultury maoryskiej oraz wyścigi tradycyjnych łodzi wojennych. Niektóre miejsca są święte dla Maorysów i lokalne społeczności starają się

to respektować. W wielu restauracjach możemy spróbować maoryskiej kuchni.

Czasami spotykamy Maorysów, którzy do dzisiaj robią sobie tradycyjne tatuaże na twarzach oraz innych, najczęściej zakrytych ubraniem, częściach ciała.

Organizowane są tutaj wieczorki maoryskie z tradycyjnym posiłkiem *hangi*. Aktorzy pokazują nam prาดawne zwyczaje, życie w wiosce, przerażający taniec *haka* (który do dziś praktykowany jest przed meczami przez nowozelandzką drużynę rugby), instrumenty, muzykę i żarty. Nie ukrywają, że to ich praca i że nie mają ochoty żyć w lasach, jak ich przodkowie, i polować, żeby mieć co włożyć do garnka. Najczęściej tatuaże na twarzy są namalowane, a kanibalizm odszedł w niepamięć. Przyjeżdżają tutaj do pracy i naszej rozrywki, ale kultura maoryska jest na pierwszym miejscu, a wieczór będziemy mieć wypełniony po brzegi wrażeniami.

**Nowa Zelandia słynie jako mekka miłośników sportów ekstremalnych. Czy miałeś okazję ich spróbować? Co polecilibyś szukającym zastrzyku adrenaliny?**

**D.W.:** Oczywiście, że próbowałem. Nie wszystkie są tak ekstremalne, jak je opisują, ale zabawa gwarantowana. Queenstown słynie z największej liczby tego typu atrakcji. Można tutaj skoczyć na bungee, pobujać się na 150-metrowej huśtawce czy wystrzelić się z katapulty. Nikt nie wpadł jeszcze na pomysł skoku do krateru ak-

>>



Plaża Trzech Sióstr.



Cathedral Cove na półwyspie Coromandel.



tywnego wulkanu. Ale znając Nowozelandczyków, to tylko kwestia czasu. Są też zjazdy na rowerach ze wzgórze, szybkie łodzie, parolotnie, skoki spadochronowe... Jedną z najciekawszych atrakcji (chyba dostępną jedynie tutaj) jest szybka łódź shotover, gnąca po rzece płynącej w wąskim kanionie, kilka centymetrów od skał. Gdy tylko łódź znajduje szersze miejsce, sternik wykonuje błyskawiczny obrót, przy którym wydaje się, że wypadniemy do wody.

Na Wyspie Północnej możemy spróbować raftingu na najwyższym dopuszczonym do tego typu zabaw wodospadzie na świecie. Z innych ciekawych aktywności wymienię zorbing (zjazd ze wzgórze w gigantycznej kuli napęchanej wodą), parki linowe, tyrolki, canyoning, wspinaczkę...

### **Najbardziej niesamowite wspomnienie z Nowej Zelandii?**

**D.W.:** To tajemnica. Ale jednym z najciekawszych doświadczeń z Nowej Zelandii jest jazda samochodem po plaży Ninety Mile Beach, z obowiązkowym „przypadkowym” zakopaniem się w piasku. Lubię też plażę Three Sisters and Elephant Rock, kiedy nadchodzi przypływ.

### **Od czego zacząć planowanie podróży? Jakie środki transportu wybrać?**

**D.W.:** Planowanie najlepiej zacząć od otworzenia mapy Nowej Zelandii. Zaznaczamy na niej atrakcje i miejsca,

które chcemy zobaczyć. I prowadzimy linię pomiędzy nimi wszystkimi. Później wyznaczamy noclegi, kupujemy bilet i wynajmujemy samochód. Można oczywiście jeździć lokalnymi autobusami lub stopem, ale samochód to duże ułatwienie.

### **Bilet i wynajem samochodu to spory wydatek. Czy podróż do Nowej Zelandii musi być droga?**

**D.W.:** Nie, nie musi. Na miejscu można pożyczyć kampera i spać pod namiotem. Jednak jeśli chcemy odwiedzić Hobbiton, uczestniczyć w wieczorku maoryskim, popłynąć w rejs po Milford Sound czy polecieć helikopterem na minitrekking po lodowcu, musimy zapłacić, i to nie małe pieniądze. Ale zdecydowana większość atrakcji jest darmowa. Trekkingi, przyroda, plaże, znajomości.

### **Gdy mamy już plan podróży i przystępujemy do szukania biletu, jaki termin wybrać?**

**D.W.:** Najlepiej podróżować od listopada do marca. W listopadzie będziemy mieć wiosenne kwitnące kwiaty, w lutym – pewniejszą pogodę. Każdy z tych miesięcy jest piękny. Nigdy nie byłem tam zimą, ale jeśli ktoś będzie chętny na dłuższe noclegi i ośnieżone góry, niech da znać. Jestem za.

# CZY WIESZ, GDZIE JEST TASMANIA?

*Leży tak na uboczu, że trzeba się chwilę zastanowić, zanim zorientujemy się, gdzie jej szukać. To taki mały kawałek Australii, który chciał zostać Nową Zelandią, urwał się i wypuścił w morze...*



Michał Antkowski

Już od dziecka słyszałem o regatach Sydney-Hobart, ale nie miałem pojęcia, na czym polega ta rywalizacja. Później dowiedziałem się, że to taki prestiżowy wyścig żeglarski, w którym zestawia się ze sobą umiejętności żeglarskie i technologiczne osiągnięcia w budowie jachtów. Najszybszy jacht pokonał trasę liczącą 1167 km w 32 godziny, 48 minut i 50 sekund. Okalający Tasmanię południowy Pacyfik znany jest ze sztormowych wiatrów i wielkich fal, i on czyni ten wyścig wyzwaniem dla sprzętu i ludzi. Oblana zimnym i nieprzyjaznym oceanem Tasmania pozostaje jednak oazą słońca, pięknych widoków i dziwactw przyrodniczych. Zagubiona daleko na końcu świata z ostatnim portem w Hobart...

Anglicy dotarli tu na początku XIX wieku. Przywieźli choroby i przemoc, co natychmiast poskutkowało prawie całkowitym wyginięciem rdzennych mieszkańców. Nowi osadnicy wykorzystali walory przyrodnicze wyspy według swoich potrzeb i upodobań. Półwysep Tasma-

na, otoczony owym zimnym i nieprzyjaznym morzem, przeznaczili na największą w Australii kolonię karną Port Arthur. Więzienie słynęło z surowych kar, a ucieczka z niego była prawie niemożliwa. Półwysep połączony jest z lądem jedynie 30-metrowym przesmykiem. Jeden z uciekinierów postanowił pokonać ten pilnie strzeżony korytarz w przebraniu kangura. Plan wydawał się doskonały, wszystko szło świetnie do momentu, gdy jeden z żołnierzy postanowił potrenować strzelanie i jako cel wybrał właśnie kangury... Więźniów już nie ma na Tasmanii. Za to kangury zostały do dzisiaj. Trzeba szczególnie uważać, jadąc samochodem po zmroku. Kangury stoją przy drodze niczym autostopowicze. Świecą oczami i momentami przypominają nawet przygotowanych do ucieczki przebiegaczy... Często przy drogach można również spotkać diabła tasmańskiego, który jest symbolem wyspy. Zwykle szuka tam martwych zwierząt, w tym kangurów, potraconych przez pojazdy. Ten mięsożerny >>



Park Narodowy Cradle Mountain.



Wineglass Bay.



Diabeł tasmański.

torbacz wyglądem przypomina małego pieska. Diabłem nazwany został dlatego, że przestraszony przeraźliwie „wrzeszczy” i jest bardzo agresywny podczas jedzenia.

Kolejny niezwykły półwysep zajmuje Park Narodowy Freycinet. Znajdują się tam piękne dziewicze tereny. Liczne skały pokryte czerwonym porostem, rozrzucone w żółtozłotym piasku plaż oblanych turkusową wodą zatoki. Kilkugodzinny spacer do Wineglass Bay jest esencją obcowania z krajobrazem wyspy. Górzysty teren, kręta ścieżka prowadząca ku widokom morza, w dole plaża obiecuje odpoczynek i relaks. Szlak zawraca w cieniu lasu owiewanego bryzą. Kawalek dalej, w Bicheno, mieszkają też najmniejsze z pingwinów – pingwiny małe. Zobaczyć je można wieczorami, kiedy wracają do swoich norek na nocleg.

W centrum wyspy, w Parku Narodowym Cradle Mountain, wśród lasów paproci i eukaliptusów, natura ukazuje swoją nietypową dzikość w postaci uroczego wombata

i cudacznej kolczatki. Ale prawdziwą anomalią jest dziobak. Ten mały stwór żartuje sobie z bycia ssakiem – składa jaja i udaje „elektryczną kaczkę”. Jego nos wygląda jak kaczki dziób i ma elektroreceptory, które poprzez odczyt natężenia fali elektrycznej generowanej przez mięśnie pomagają mu zlokalizować ofiarę. Mimo całego jego wdzięku i uroku, z dziobakiem trzeba uważać. Na łapach ma kolec jadowy niczym gad, który przy bliższym poznaniu może być źródłem dużego bólu. Mimo wszystko najmiłszy jest w postaci pamiątkowej maskotki.

Mieszkańcy Hobart doskonale wiedzą, że żyją na uboczu świata. Często rozmawiają o tym z przyjezdnymi, pytają, skąd przybywasz i dlaczego tak daleko się wybrałeś. Może dlatego, że sami rzadko ruszają w świat. Wiecie dlaczego?



Wodospad Dettifoss, Islandia.

# EUROPA







# PRZEZ INTERIOR I FIORDY ISLANDII



Zuzanna Komuda  
Zdjęcia: Dariusz Wiejaczka

Słowo „przestrzeń” na zawsze zmienia swoje znaczenie po podróży na Islandię. Zamknięci w miastach i miasteczkach, gdzie horyzontu domyślamy się za kolejnymi budynkami, nie jesteśmy do końca gotowi na to, co Islandia ma do zaoferowania. Ale przyjmujemy to, łączywie i chętnie. Z każdym kilometrem coraz chętniej. >>



Wyobrażenie wodospadu też już nigdy nie będzie takie samo. Smukła sikława w naszych głowach zmieni się w nieokiełznaną masę wody, prawdziwy przejaw potęgi natury, do której trzeba podchodzić z respektem i chcąc nie chcąc – ogromnym zachwytem.

Góry od teraz będą się dla nas mienić kolorami, ptaki będą miały pocieszne mordki maskonurów, obraz pięknej plaży będzie czarny, a bajeczne laguny nieodłącznie skojarzą się nam z lodowymi górami. Nie bójmy się tych zmian, powitajmy je jako coś naturalnego. Tak jak Islandię.



Czarna plaża Reynisfjara.



Kolorowe Góry Landmannalaugar.



*Cypel Dyrhólaey.*



*Czarna plaża Reynisfjara.*



*Maskonur.*



*Lodowa laguna Jökulsárlón.*



*Wodospad Seljalandsfoss.*



*Kolorowe Góry Landmannalaugar.*



*Wrak samolotu na plaży Solheimasandur.*



*Półwysep Antarkyczny.*

# ANTARKTYDA



# KIEDY JECHAĆ NA ANTARKTYDĘ?

*Tajemniczy siódmy kontynent na półkuli  
południowej, nigdy niezasiedlony przez ludzi,  
niemal w całości pokryty jest lodem.*



Ta lodowa pustynia w okresie od listopada do marca buzuje jednak życiem. W otaczających kontynent wodach wzrasta ilość pokarmu dla całego łańcucha zwierząt, od kryla po ptaki, foki i wieloryby. Dobrze odżywiona fauna zaczyna miłosne gody, a następnie wychowa potomstwo, które wkrótce przyjdzie na świat.

Trudno wyobrazić sobie bardziej ekstremalne warunki do życia niż te panujące na obszarze Antarktyki, który obejmuje Antarktydę wraz z pokrywającym ją lądolodem o grubości 2,5 km oraz otaczającymi kontynent wyspami i wodami. W zasadzie moglibyśmy nazwać go śnieżną pustynią, gdyż mroźny antarktyczny klimat jest jednocześnie bardzo suchy. Rocznie rejestruje się tutaj zaledwie 50 mm opadów w centrum i 200 mm na wybrzeżu. To także jedno z najbardziej wietrznych miejsc naszego globu. Najwyższe temperatury występują w styczniu, kiedy na Antarktyce panuje lato. Nie należy jednak spodziewać się wówczas upału – słupek

rtęci oscyluje między 1 stopniem Celsjusza na wybrzeżu oraz -35 stopniami Celsjusza w głębi kontynentu. W najzimniejszym miesiącu, czyli lipcu, temperatura spada do około -50, a nawet -70 stopni Celsjusza. W 1983 roku na rosyjskiej stacji badawczej Wostok zanotowano najniższą temperaturę naturalnie występującą na Ziemi: -89,2 stopnia Celsjusza!

Ubóstwo antarktycznej flory, składającej się głównie z mchów, porostów, glonów i kilku gatunków traw, w połączeniu z zimnem oraz długą nocą polarną powodują, że poza działającymi okresowo stacjami badawczymi nie ma tu stałych osad ludzkich. Istnieje za to... niewielki ruch turystyczny. W okresie pięciu miesięcy odbywają się polarne rejsy, których uczestnicy podziwiają dziewiczą przyrodę wybrzeży Półwyspu Antarktycznego oraz Południowych Szetlandów. Między listopadem a marcem zmieniające się pory roku przynoszą całą gamę zróżnicowanych widoków oraz atrakcji dla zwiedzają- >>





Kolonia pingwinów białobrewych.

cych. Planując swoją podróż marzeń na siódmy kontynent, sprawdźcie, czego można się spodziewać w poszczególnych miesiącach.

### **LISTOPAD – GRUDZIĘN**

Te miesiące to antarktyczna wiosna i początek lata. Po okresie zimowej ciemności pod wpływem słońca następuje lawinowy wzrost fitoplanktonu, czyli roślinnych mikroorganizmów dryfujących w wodzie i stanowiących pierwsze ogniwo wielu łańcuchów pokarmowych. Fitoplankton dostarcza żywności olbrzymim masom zooplanktonu, w tym kryłowi. Ten ostatni jest z kolei pożywieniem kałamarnic, ptactwa, fok i wielorybów, które o tej porze roku tuczą się, a potem reprodukują.

W listopadzie przychodzą na świat małe krabojady – drapieżne ssaki morskie z rodziny fokowatych. Młodymi opiekują się wspólnie samice i samce. Grupy tych zwierząt możemy wypatrzeć w morzu i na krach lodowych. >>



Foka.

Aż do grudnia słonie morskie strzegą zawzięcie swych haremów, liczących do 40 samic. W tym czasie do wybrzeży Antarktyki przybywają również pierwsze wieloryby szukające pożywienia. Można także zobaczyć zadziwiające rytuały pingwinich zalotów, budowanie przez te nieloty gniazd z kamyków, a nawet wzajemne podkradanie sobie deficytowego budulca. Większość żyjących na Antarktydzie pingwinów oraz latających ptaków, takich jak petrele i kormorany, składa jaja w końcu listopada lub w grudniu. Młode pingwiny wylęgają się około 35 dni później. Można również odwiedzić stacje badawcze – naukowcy przyjmują pierwszych turystów. W grudniu dni są najdłuższe, zdjęcia przy naturalnym świetle udadzą się nawet o północy.

## STYCZEŃ – LUTY

Najcieplejsze antarktyczne miesiące, czyli pełnia lata, to okres rozkwitu aktywności zwierząt. Większość małych pingwinów wylęga się w styczniu, najwcześniej na Południowych Szetlandach, a potem na południu Półwyspu Antarktycznego. Można wtedy obserwować młode uchatki antarktyczne, zwane także lwami morskimi,

oraz lamparty morskie (cętkowane ssaki z rodziny foko-watych). Luty to natomiast najlepszy czas na oglądanie wielorybów. Największą ruchliwość wykazują wówczas pingwiny, a cofający się lód pozwala na dalszą eksplorację Półwyspu Antarktycznego.

## MARZEC

Sezon rejsów antarktycznych dobiega końca w ostatnich dniach marca. Ten miesiąc to na półkuli południowej jesień. W miarę jak słońce chowa się za linię horyzontu, stopniowo powracają ciemności. W dzień na wybrzeżu temperatury wynoszą ciągle około zera stopni, choć w nocy możemy odczuwać antarktyczny mróz, formujący piękne wzory na cienkim lodzie na powierzchni morza. Warstwa śniegu jest minimalna i pozwala na piesze wycieczki po Południowych Szetlandach. Ciekawym obiektem obserwacji są dorastające pingwiny i wciąż można zobaczyć dużo wielorybów. Spektakularnie rozkwitają zielone i różowe algi. Pojawia się szansa na ujrzzenie zorzy polarnej – widomy znak tego, że wkrótce zamknie się kolejny cykl przyrody i Antarktyka pograży się w zimowej podbiegunowej nocy.

*Na pokładzie statku.*



*Widok z kajuty potrafi zachwycić.*



*Pingwin królewski z pisklęciem.*





**SIGNAL IDUNA** 

**Bezpiecznie przez świat!**

Ubezpieczenie turystyczne SIGNAL IDUNA  
to gwarancja bezpieczeństwa w każdym miejscu na świecie.

# STREFA MŁODYCH

by KIRIBATICLUB

Wyjazdy **Strefy Młodych** to:

PRZYGODA | SPONTAN | AKTYWNOŚĆ | ENERGIA

Dołącz do nas!

[www.kiribaticlub.pl](http://www.kiribaticlub.pl)

**KOCHASZ  
PODRÓŻE  
TAK JAK MY?  
ZNAJDŹMY SIĘ!**

#### **INSTAGRAM**

[@kiribaticlub](https://www.instagram.com/kiribaticlub)

Najpiękniejsze zdjęcia  
z naszych wypraw.



#### **YOUTUBE**

[@kiribaticlub](https://www.youtube.com/kiribaticlub)

Vlogi Biura  
w Podróży!



#### **FACEBOOK**

[@KiribatiClub.PrawdziwePodroze](https://www.facebook.com/KiribatiClub.PrawdziwePodroze)

Aktualności ze świata podróży  
i wyjazdów.

